Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 23. Maja 1880 r. **Tom X.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 21.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

TOWARZYSTWO „DORSZE SZULOM“.

Jak najważniejsze nieraz zamiary marnieją u nas przez niedającą się niczem usprawiedliwić obojętność i nieporadność przy najlepszych nawet chęciach, jak zaniedbujemy częstokroć sprawy najwyższej doniosłości, jednym z najnowszych tego dowodów jest utworzone przed trzema laty u nas towarzystwo żydowskie pod nazwą: „Dorsze Szulom“. Zawiązane przez grono żydów odszczególniających się wykształceniem, charakterem i szczerze polskim patryotyzmem, miało ono być łącznikiem pomiędzy żydami a innemi warstwami naszego społeczeństwa, pod hasłem zgody zatrzeć z czasem istniejące antagonizmy, krzewić między żydami wraz z oświatą uczucia obywatelskie, i tym sposobem dążyć ku rozwiązaniu tej nader ważnej kwestji, rozdzierającej łono naszego społeczeństwa i zwracającej na siebie uwagę każdego myślącego Polaka, którą powszechnie „kwestją żydowską“ nazywamy.

Cel tak chwalebny zwrócił zaraz w pierwszej chwili powszechną uwagę. Obiecywano sobie wiele po nowozawiązanem towarzystwie i słusznie powitano je ze wszech stron bardzo przychylnie. Jakoż istotnie Dorsze Szulom zaczął pod przewodnictwem obranego prezesa dra Blumenfelda, tutejszego notarjusza, męża znanego z zacności i polskości przekonań, bardzo pożądaną rozwijać czynność. Połączywszy w sobie dwa wybitne społeczeństwa żydowskiego żywioły, mianowicie patryotycznie myślących polskich żydów postępowych i starowierców, towarzystwo „Dorsze Szulom“ wystąpiło stanowczo do walki przeciw trzeciemu, wrogiemu polszczyznie żywiołowi niemieckiemu, nurtującemu połypem zaraźliwym w ciele naszego społeczeństwa żydowskiego i usiłującemu pochłonąć je całkowicie, którego to żywiołu i tendencji tych wyrazem jest »*Szomer Izrael*« i wydawane przezeń w języku niemieckim czasopismo »*Der Israelit*«.

Komu znane są nasze stosunki krajowe, kto wie jak potężny wpływ na żydów naszych wywiera od dłuższego czasu „Szomer Israel“, szerząc w około wszelkiemi możliwemi sposoby jad niemczyzny, ten pojmie, jak wielkiej doniosłości zadanie podjęło „Dorsze Szulom“ i jak wielkie mogło w obranym kierunku położyć zasługi.

Idąc wytkniętym w statucie torem, pomyślało towarzystwo „Dorsze Szulom“ przedewszystkiem o krzewieniu polszczyzny między żydami. W tym celu miały się odbywać zebrania towarzyskie w przeznaczonem na to pomieszkaniu, stanowiącem rodzaj kasyna towarzyskiego, gdzie omawianoby co ważniejsze sprawy bieżące w duchu odpowiednim głównemu zadaniu stowarzyszenia. Dalej miała być nauka języka polskiego i historji polskiej, udzielana bezpłatnie niezamożnej młodzieży żydowskiej, wreszcie miało towarzystwo wydawać czasopismo w języku polskim, będące wyrazem jego dążności i działania.

Niepodobna atoli było wszystkiego tego dokonać od razu. Postanowiono rozpocząć wydawnictwem czasopisma, albowiem był to najskuteczniejszy, jak się zdawało, środek poznajomienia publiczności z dążnościami towarzystwa i zjednania dlań coraz szerszego koła zwolenników. Najęto pomieszkanie na kasyno, mające zarazem służyć za biuro redakcji nowego czasopisma. Redakcję oddano znanemu z zacnych patryotycznych przekonań, posłowi Bernardowi Goldmanowi, i z początkiem sierpnia 1877 roku zaczęło wychodzić czasopismo „Zgoda“, redagowane w duchu szczerze polskim i liberalnym, i z tego stanowiska zapatrujące się na stosunki żydowskie i sprawę żydowską w ogóle i u nas.

Już sam tytuł wskazuje, jaki był cel, jaka dążność rzeczonego dziennika. W programie wypowiedział on zaraz na wstępie, że celem jego jest propagowanie *zgody* pomiędzy żydami a resztą mieszkańców wspólnej naszej ojczyzny, zgoda przekonań i dążności we wszystkich sprawach krajowych, w życiu publicznem i codziennem, na gruncie politycznym i społecznym: „Chcemy i dążymy do tego, powiedziano w programie „Zgody“, aby współwyznawcy nasi poczuli się prawdziwymi obywatelami kraju, świadomymi nietylko praw swoich, ale także i *obowiązków*, wobec kraju i współobywateli itd.“

Programu tego wiernie trzymała zię „Zgoda“ przez cały czas swego, krótkiego, niestety! żywota. W tych dwudziestu kilku jej numerach, które wyszły w ciągu roku, rozwinęła ona zdrowy, uczciwy i szczerze polski pogląd na wszystkie stosunki żydowskie, wykazując zawsze wybitnie korzyści, wypływające dla żydów ze szczerej a ścisłej łączności z krajem i całem polskiem społeczeństwem. Z tego stanowiska w szeregu znakomicie pisanych artykułów wstępnych rozbierała „Zgoda“ wszystkie ważniejsze sprawy bieżące — poruszyła wiele ważnych kwestji — starała się rzucić zarody wielu pożytecznych myśli, podejmowała inicjatywę w wielu rzeczach, mogących doniosłe mieć następstwa. Słowem był to dziennik redagowany starannie i w jak najlepszym duchu... mogący przy odpowiednem rozpowszechnieniu niezmiernie wiele zdziałać z czasem dobrego, zwłaszcza że wszędzie tam znać było wytrawność pióra, a przytem wzorowo czystą polszczyznę stylu.

Ale kto u nas czytał „Zgodę?“ Kto o niej słyszał lub wiedział, oprócz członków towarzystwa „Dorsze Szulom“, którzy ją bezpłatnie otrzymywali? Czy dzienniki nasze starały się poprzeć dobrą sprawę należytą godziwą w takim razie reklamą? Bynajmniej — Parę wzmianek dziennikarskich mimochodem na razie uczynionych — koniecznych z samej już przyzwoitości — a więcej — nic — cisza zupełna. Zkądże publiczność miała się dowiedzieć o wychodzeniu pisma, o jego duchu, o pożytecznym celu, o uczciwej dążności? Redakcja „Zgody“, w poczuciu dobrej sprawy, gardziła własną reklamą, nie chciała sama się zalecać po inseratach gazeciarskich, wraz z proszkami korneuburskiemi — i „Zgoda“ utonęła w zapomnieniu. Kiedyś, jeżeli wpadnie komu do rąk ów rocznik „Zgody“, zdumi się on zaiste, że pismo tyle

mające prawa bytu, tak znakomite treścią a poczciwe zasadą, przeminęło bez rozgłosu, zmarło zaniedbane, powszechnem milczeniem umorzone. Inaczej dzieje się w Warszawie. Wychodzi tam także, i to od dawna, dziennik poświęcony sprawom żydowskim i przez żydów redagowany, pod tytułem »*Izraelita*«. Ale tam uwaga całej prasy, całej publiczności pilnie nań jest zwrócona. Każda myśl nowa, każda ważniejsza sprawa. podniesiona przez »*Izraelitę*«, zajmuje zaraz wszystkie dzienniki — rozbierają ją, oceniają, krytykują — popierają, jeżeli na to zasługuje — potępiają, jeżeli jest co do zarzucenia, a rzecz naturalna, do wyjaśnienia kwestji, do wykształcenia żydów, do rozbudzania i potęgowania u nich uczucia patryotycznej obywatelskości, a tem samem i do dobra powszechnego postępowanie takie wielce przyczyniać się musi. Gdyby i u nas rzeczy podobnym szły torem, „Zgoda", ciesząc się należytem uznaniem i rozpowszechnieniem, byłaby niezmiernie pożyteczny wpływ wywarła. Dosyć będzie, aby ocenić jej skutki, przytoczyć tę okoliczność, że Szomer Israel, ów polakożerczy propagator niemieczczyzny i rozwoju społecznego, ujrzał się, współzawodnictwem „Zgody" zmuszony, przychylniejsze w ogóle względem Polaków i powszechnych dążeń krajowych zająć stanowisko, a nawet do swego niemieckiego dziennika »*Der Israelit*« dołączać dodatki *w języku polskim*. Rzecz niesłychana w Szomer Izraelu! Gdy „Zgoda" wychodzić przestała, ustały, ma się rozumieć, i polskie dodatki do szomerowskiego *Izraelity*, i wszystko na dawniejsze wróciło tory.

W takim to, jak powyżej skreśliliśmy, kierunku rozwijało się w pierwszym roku swego istnienia towarzystwo „Dorsze Szulom" pod zacnem i światłem przewodnictwem dra Józefa Blumenfelda. On to głównie podtrzymywał wydawnictwo „Zgody", a z pierwszego tego przy słabych początkowo siłach, działań zawiązku, słusznie pomyślne o dalszym rozwoju towarzystwa we wszystkich kierunkach rokować można było nadzieje. Aliści inaczej się stało.

Z końcem roku walne zgromadzenie wybrało w miejsce dra Blumenfelda prezesem towarzystwa pana Filipa Zukra, a wiceprezesem dra Bernarda Goldmana. Obadwa to mężowie znani z prac swych na widowni życia publicznego, w sejmie i w radzie miejskiej — obadwaj znani z patryotycznych uczuć polskich i obywatelskiej gorliwości. Zdawało się zatem, że odtąd „Dorsze Szulom" rozwinie większą jeszcze gorliwość, że pod ich światłem kierownictwem zdążać będzie z podwojoną energją ku celom wytkniętym statutami, że nie zaniedba niczego, cokolwiek do uszlachetnienia umysłowo i moralnie żydów naszych i w ogóle do dobra kraju i społeczeństwa przyczynić się będzie mogło — któżby się spodziewał, że stanie się wręcz przeciwnie. Zagadka trudna do wytłumaczenia. Ale tak jest.

Od chwili, kiedy panowie Zuker i Goldman objęli ster towarzystwa „Dorsze Szulom", a więc już od dwóch lat przeszło, towarzystwo to w nagły letarg popadłszy, najmniejszego znaku życia nie daje. Zaraz wówczas we wrześniu roku 1878 jeszcze, zaprzestała wychodzić „Zgoda", odtąd też nie zwołano, o ile wiemy, walnego zgromadzenia, nie ogłoszono żadnego sprawozdania z czynności — ale bo też nie uczyniono nic — nic zgoła.

Nie wiemy, czemu to przypisać — ale jakiekolwiek bądź okoliczności taki smutny zwrot rzeczom nadały, grzechem obywatelskim jest, dać zamrzeć towarzystwu w tak dobrym i użytecznym celu założonemu, jak „Dorsze Szulom". Wiemy, że we wszystkiem początek bywa najtrudniejszy, ale skoro początek tak pomyślnie był zrobiony, kiedy się przetrwało szczęśliwie bole porodu, grzechem jest zabić dziecię, co przy troskliwem pielęgnowaniu może pięknie urość i rozwinąć szeroki zakres działania niezmiernie w naszych stosunkach pożytecznego tak dla samychże żydów, jak i dla kraju w ogóle. Zabieramy więc głos, aby zbudzić do życia „Dorsze Szulom", zwracamy się w tym względzie do znanych obywatelskich uczuć jego prezesa i wiceprezesa pp. Filipa Zukra i Bernarda Goldmana, którzy obejmując ster Towarzystwa poruczonego ich straży i pielęgnowaniu, wzięli na siebie odpowiedzialność za utrzymanie jego bytu wszelkiemi możliwemi sposoby; wołamy i wołać nie przestaniemy, dopóki nie przerwiemy tego długiego, śmiercią grożącego letargu.

ZADORA

Historja z końca XVIII. wieku.

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Nec Hercules, contra plures, powiada przysłowie źle rymowane; pan Łowczy mając przeciwko sobie żonę, córkę i w dodatku młodzieńca, który mu się za zięcia swatał, bronił się z początku mężnie, pana Jacka woląc przy warcabach niż przy córce, po kilku dniach jednak, w domu nie mając pokoju, znajdując ciągle kwaśne twarze i nadąsane kobiety — uległ.

— Róbcież sobie co chcecie — zawołał — Basia tak się wyspi jak sobie pościele.

Zaczęto mu dziękować, co on dosyć ponuro przyjmował, ale słowo raz rzekłszy, odwoływać go nie chciał. Gdy, na dany znak, zjawił się w Wólce Zadorski, już wszystko było tak ukartowane, że do nóg tylko potrzebował upaść i podziękować za niezasłużoną łaskę p. Łowczego, za którą do zgonu obiecywał mu być wdzięcznym.

— Pamiętaj asindziej tylko, aby Basia szczęśliwą była, jej winieneś za afekt wdzięczność, bo miała konkurentów nie mało i z kolligacjami i possesjonatów, a waszmości wybrała...

Pierścionki tymczasowo zamieniono, a ze ślubem potrzeba było czekać, aż się znajdzie jakaś dzierżawa, lub pana Łowczego zwolna da się przekonać, iż co miał płacić posag gotówką, mógł odstąpić jedną ze swych licznych possesji dla nowożeńców. Spodziewały się matka z córką, że do tego ojca przyprowadzą. Termin ślubu nie był jeszcze postanowiony, chociaż Basia wyprawę swą całą aż do najdrobniejszej fręzelki miała gotową i w kufry nawet upakowaną.

Za to nieszczęśliwy Jacek wyekwipować się potrzebował od butów poczynając, a na to nie miał prawie nic. Rodzice wprawdzie ofiarowali mu się zebrać co tylko mogli przy swem ubóstwie, ale do nich się uciekać boleśnie było Jackowi, i odzierać ich z ostatniego.

Szczęśliwy i nieszczęśliwy razem, powrócił tego dnia do Kodnia, i, gdy konia w stajni swoim zwyczajem doglądał, zjawił się stary Drobisz.

Koniuszy był bo ciekawy wszystkiego, co się tyczyło Zadorskiego, jak gdyby go z nim węzeł jaki łączył.

— No, a co tam przywozisz? — spytał.

— I szczęście i troskę — odparł Jacek — oboje za wielkie dla mnie! Jak im podołam, jeden Bóg wie, co mi je dał.

— Tandem — cóż takiego!

— Mam obietnicę rodziców i słowo panny, pierścionkiśmy zamienili — a dalej!

Westchnął tylko.

— Ba co ma być dalej, pójdziecie do ołtarza i kwita.

— Tak w tym kontusiku co na mnie? — spytał Jacek — i w tych nowo podzelowanych butach?

— O! to furda! — odparł Koniuszy, — panna grunt, reszta się znajdzie.

Ale gdzie jej było szukać i znaleźć, tego Drobisz nie mówił, a Jacek napróżno głowę łamał. Przychodziły mu myśli różne, wszystkie tak niedorzeczne, że się z niemi popisywać nie mógł. Jeździł tymczasem co wieczora do Wólki, z panną jako oblubieniec przesiadywał na gawędkach godzinami, przed nią się jednak nie przyznawał do nieporadności swej i lepszą miną nadrabiał, niż miał w istocie. Zaledwie się rozeszli, posępniał i desperował.

Panna Barbara uwiadamiała go o postępach, jakie z matką czyniły, ojca usiłując skłonić, aby Zarucze im puścił. Stary jeszcze, jak zwykle, wykrzykiwał, że go chcą zarżnąć i to jeszcze tępym nożem, ale zwolna już miękł i zaczynał tylko czynić różne ekscepcje i zastrzeżenia. Miały więc nadzieję, że się zgodzi na to w końcu.

A tu im bliżej było pożądanego końca tego, tem większy strach opanowywał biedaka, który całego majątku miał kontusz codzienny *cum attinetiis;* parę butów od dni powszednich i błota, i *item* drugi garnitur odświętny, dobrze przechodzony z butami safianowemi, szabelkę jedną, którą Koniuszy rzezakiem przezywał, siodło na konia i kilimków parę.

Do wesela zaś, choćby najskromniej wystąpić przyszło, dużo więcej potrzebował, aby go nie wyśmiewano. O żadnym przepychu mowy być nie mogło, tylko o tem, co konieczne.

Gdy jednego dnia, powróciwszy od Łowczanki, zapadł w niezmierny smutek i aprehensją, a na łokciu się podparłszy medytował w swej izdebce, co ma począć; wszedł z pozdrowieniem chrześciańskiem Koniuszy.

— Co ty u kata tak się zafrasowujesz? — zawołał — To ostatnia rzecz! Wodę warzyć woda będzie, tak i z głupim smutkiem, z którego nie wybrnąć wzdychając.

Ot! ja do ciebie przyszedłem z lekarstwem na frasunek.

To mówiąc siadł na twardem łóżeczku Zadorskiego.

— Powiem ci, że mam oto głupi kapitalik, z którym nie wiem co robić. Księżnie go nie dam, bo, najzacniejsza pani w świecie, ale swoje i cudze je i traci — ani bym się kiedy z tem zobaczył. Zawszem sobie myślał dać w młode, poczciwe ręce tych tam kilka tysięcy. Ja ci je na wesele pożyczę!

Spojrzał na Jacka, który słuchał, a uszom nie wierzył.

— Co panu takiego! — odparł — a gdzież u mnie ewikcja, na czuprynie! Chyba żartujesz ze mnie? jakżebym ja się ważył to wziąść, tę krwawicę waszą?

— Otóż masz! — zawołał Koniuszy — Toż ty rozumniejszy odemnie! Niby ja nie wiem co robię! Ja właśnie szukam honoru nie ewikcji, sumienia a nie intabulacji i dla tego ci się z moim kapitalikiem napraszam.

— Panie Koniuszy — zawołał Jacek — nie kuś że nieszczęśliwego!

— A ty Jacuś starych rozumu nie ucz! Bierz co ci z dobrego serca daję. Suma nie tak wielka, trzy tysiące złotych talarami bitymi. Oddasz mi ratami, powoli, bo ja gwałtem odbierać nie będę, ani ryczałtem. Prowizji mi nawet dasz pięć od sta! Żadnej ci łaski nie robię.

— Panie Koniuszy! — krzyknął Jacek łamiąc ręce — a czem że ja na to zasłużyłem?

— Nie potrzeba się było zasługiwać — rzekł stary — Ręka rękę myje, dla mnie to dogodne. Powiadam ci, w kuferku je trzymając, choć zamczysty, niepokój taki, że sobie rady dać trudno. Uchowaj Boże ognia! uchowaj złodzieja! Dalej szlachta, co ma taki nos, że talar przez piątą skórę poczuje, panowie goli — wszystko to się umizga do sepecika... Człek się zbędzie... Panu Bogu podziękuje.

Słuchał tego wykładu Zadorski i nie wiedział co już mówić; poszedł go w kolana całować, a z pieniędzy się wymawiać, Drobisz i słuchać nie chciał.

— Musisz wziąść — dokończył — U nas biednej szlachty jest ta maxyma od wieków, że my jedna krew, jeden ród i żeśmy szczególniej zubożałym swojakom pomagać powinni.

Czuł Jacek, że z tego tytułu wcale do pomocy prawa nie miał, ale jakże się miał z tem zdradzić? Drobisz nie uspokoił się, aż owych bitych talarów nie odniósł i nie wziął skryptu.

— I żebyś mi o tem nikomu słowa nie pisnął — dodał — bo mnie wezmą za kapitalistę i spokoju nie będę miał.

Wielki tedy kamień spadł z serca Jackowi, który zaraz o ekwipowaniu się myśleć zaczął. Lecz nie mógł tego przenieść na sobie, teraz gdy już zbliżało się ożenienie, aby do rodziców się nie wykradł po błogosławieństwo i ich o wszystkiem nie zawiadomił.

Z panem sekretarzem o urlop nie potrzebował teraz bardzo się ugryzać, bo gotów był już zupełnie służbę opuścić. Długoszewski właśnie to przeczuwając, udawał, że nie rozumie o co idzie i uwolnić go się opierał.

— Cóż to acan — mówił — naprzód się nam wprosiłeś, wcisnąłeś do kancelarji, a teraz, gdy jakaś chandra przyszła, chcesz sobie tak samowolnie służbę rzucać! Ja nie mam go kim zastąpić, i do końca roku musisz acan zostać.

Nie chcąc się spierać z sekretarzem, Jacek o urlop na dni kilka tylko prosił, zwłaszcza że Strażnik Koronny odjechał był, i pilnej roboty nie było: na urlop więc, po długich sporach, sekretarz się zgodził.

Jacek otrzymawszy go, siadł na bułanego i tąż samą drogą co pierwszą razą, puścił się do chaty leśnika. Jechał teraz weselszy i swobodniejszy, bo od czasu jak rodziców widział, dużo się rzeczy zmieniło na lepsze. Nadzieja jakiejś przyszłości w serce wstępowała, a sumienie się uspokoiło. Różnemi sofizmatami Jacek je do milczenia zmusił.

Znowu tedy na nocleg przybył do karczemki, a drugiego dnia pod wieczór do znajomej zbliżał się zagrody.

Jeszcze jednak kawał drogi miał do przebycia, gdy nagle rozdzierające serce posłyszał krzyki. Pochodziły one z niedalekiego miejsca, a głos co tak boleśnie jęczał, wołając ratunku, zdał mu się być znanym ojca jego głosem.

Z niewypowiedzianem wzruszeniem, konia popędził natychmiast co mógł wyskoczyć i zaledwie kilkadziesiąt kroków zrobiwszy, ujrzał jak Mazanowski na koniu siedzący, starego Antoszka za kołnierz trzymał i po plecach razami okładał z furją, wrzeszcząc:

— A będziesz ty mi chamie jakiś, odpowiadał!

Nim się rozmyślił Jacek, już przypadłszy nagle do szlachcica i szabli dobywszy płazować go począł.

Mazanowski, jakby go piorun raził, obrócił się ku niemu.

— A tyś tu co za jeden, zbóju? — zawołał.

— Tyś sam zbój, co starego niewinnego człeka krzywdzisz, Boga w sercu nie mając.

— A tobie co do tego? — wrzasnął do szabli się rwąc Mazanowski — Kto mi tu ma bronić, chama rozumu uczyć! Jam tu nad nim starszy! mam prawo!

— Nie masz ni prawa, ni serca! Sam nie możesz być i powodem i sędzią. Skarż, gdy winien.

— A ty jakiś! — krzyczał Mazanowski już nacierając na Jacka z szablą jak wściekły.

Stary Antoszek chwiejąc się na nogach ze strachu o syna, słowa nie śmiejąc rzec, o drzewo się oparł i płakał.

Tymczasem Mazanowski jak siedział na koniu, tak też na konnego Jacka naciskał. Oba szable mieli w rękach i sięgali ku sobie, ale konie do takiej walki nieprzywykłe, żachały się i nie dawały się im złożyć nawet, co wściekłość Mazanowskiego powiększało.

Widząc, że płazów odebranych nie pomści, szlachcic w końcu skoczył z konia z zapamiętałością wielką, a Jackowi nie było co czynić, musiał też bułanka porzucić.

Starli się tak na wązkiej drożynie, a że Mazanowski nie miał czasu pod nogi patrzeć i złość go oślepiała, ośliznął się na korzeniu sosny i chybnął gdy już płatnąć miał. Jacek korzystając z tego znowu się po chłopsku spisał, bo za kark z tyłu chwycił, zatrząsł nim strasznie, i tak trzymając go w garści, niemiłosiernie płazować zaczął. Mazanowski stracił zupełnie przytomność, wyrywał się z żelaznych rąk, ślizgał, padał, a Jacek grzmocił go a grzmocił, aż zaczął wołać.

— Pardon — niech cię jasne pioruny biją — puszczaj i idź do piekła — zbóju!

Ze wśród tego szamotania się szabla była wypadła z rąk szlachcicowi, Jacek ją z ziemi podniósłszy, Mazanowskiego puścił, a puszczając pchnął tak, że padł twarzą na ziemię w błoto.

Szablę zabrawszy, nie mówiąc słowa, odstąpił jeszcze drżący cały, siadł na bułanego i stanął.

Nieszczęśliwy Antoszko, świadek struchlały tej sceny, który czuł, że się jej nim mścić będą, z trwogi nie wiedząc ca robić, konia Mazanowskiego chwycił i wsteo jącemu a twarz z błota ocierającemu, podprowadził. Szlachcic ukarany tak za swe okrucieństwo, był nieprzytomny, jak pijany się zataczał. Nie tyle odebrane razy go bolały, co srom jakiego doznał... W passji postradał prawie zmysły, rzucił się na konia i rękę tylko z pięścią wyciągnąwszy ku Jackowi z groźbą, w czwał lasem popędził...

Jacek też, jak tylko go nie stało, natychmiast z konia zsiadł i do biednego podbiegł ojca.

— A coś ty zrobił — wołał Antoszek — co ty najlepszego zrobiłeś? Niech by mnie był bił, nie pierwszy to raz, nie ostatni, duszy by z ciała nie wypędził... a teraz!

Załamał ręce.

— To zajadły, wściekły człek! myślisz, że on ci to daruje, żeś go tak pokarał! Nie zapomni on tego do śmierci, wskróś ziemi pójdzie cię dla pomsty szukać! O! nieszczęśliwyż ja, nieszczęśliwy.

Jacek jak mógł i umiał, starał się go uspokajać, płakał biedny ojciec, i tak wlokąc się zasępieni oba, dobili się do chaty, w której niespokojna Maryś stara na męża czekała. Zobaczywszy z nim syna, skoczyła radośnie naprzeciw niego, ale pociecha krótką była, bo nie mogli przed nią taić co się stało. Trzeba się było przyznać a i o Jacku radzić zaraz, bo mu tu długo popasać u rodziców nie można było, gdyż Mazanowski lada chwilę mógł napaść, i to nie sam ale z ludźmi, albo zabić albo na śmierć zbić.

Zaledwie więc czas mieli się uścisnąć, popłakać, a Jacek ich o swem szczęściu uwiadomił, gdy już o odwrocie myśleć musiał. Na noc spuszczać się nie podobna było, konia nawet rozsiodłać nie dał ojciec, nasłuchując ciągle; a gdy koło pół-

*

nocy księżyc w ostatniej kwadrze trochę rozświecił las, kazał siadać i jechać.

A miał przeczucie dobre, bo ledwie się Zadorski w bok znajomemi ścieżynkami odbił trochę od chaty, gdy posłyszał jak ją do koła opasywano. Mazanowski spodziewając się, że ów nieznajomy u leśnika, którego obronił, nocuje, bo w pobliżu nie było gdzie zajechać, zebrał swoich ludzi i strażników i ostawiał zagrody ze wszystkich stron.

Wpadł potem samotrzeć do chaty i nie posiadał się ze złości, przekonawszy, że tu już nikogo nie było. Szczęściem dla starego Antoszka, oszczędził go, aby nie rozpowiadał o płazowaniu. Musiał tylko wszystkich, co przyszli z tą obławą karmić i poić leśniczy, a gdy się popili, do dnia białego ich w chacie ugaszczać, gdzie mu brewerje dokazywali.

Jacek, który parę dni spodziewał się przebyć u rodziców, nie wiedział teraz czy ma do nich wrócić, czy nazad jechać do Kodnia. Namyśliwszy się dopiero, bojąc o starych więcej niż o siebie, zawrócił do rezydencji.

Mazanowski napróżno się u Antoszki dowiadywał, kto był ów szlachcic Zadorski, imię jego bowiem zapamiętał, i jaką on miał służbę u księżnej. Leśniczy się zaparł, że go nie znał i nic o nim nie wiedział. Że szlachcic się mścić zechce, o tem Jacek był przekonany, lecz nie spodziewał się, aby tak mocno wziął do serca swe plagi; nie wiedział, że miał do czynienia z utrapieńcem znanym z tego, iż guzów szukał i guzy rozposażał ciągle. Los chciał, dając mu szczęście, przysporzyć też nieprzyjaciół, bo i Wysocki i przyszła jego żona i Długoszewski i teraz Mazanowski wszyscy wrogami mu byli. Doliczywszy do tego tych, którzy z nimi trzymać mogli — miał się czem niepokoić.

Gdy znowu tak zawcześnie powrócił jak pierwszą razą do Kodnia, zdziwił się Koniuszy mocno. Jacek zaś nie mówiąc o co i o kogo szło, opowiedział mu, jaką z powodu okrutnego bicia starego człowieka, miał przygodę z Mazanowskim.

— A! bodajże cię! — krzyknął Koniuszy — po coż ci się było do tego mięszać! Świerzbią cię plecy także! Co ci było do tego, że chama, może i sprawiedliwie, łomotał!

— Ależ starca z siwemi włosami!

— Co by mnie siwizna jego obchodziła! — przerwał Koniuszy. — Z chłopami, że to jest naród wielce krnąbrny i zuchwały a chytry, inaczej nie można tylko bizunem. Dobra to tam litość nad ludźmi, co są innej krwi i stanu, a nad prostem, grubem chłopstwem, nie ma się co rozpadać. I to ci powiem, że ja tego Mazanowskiego znam, to jest bies nie człek. On tego nie przeniesie, żeś mu taką ignominią zadał, i to jeszcze przy chłopie...

Miej że się na baczności, bo tu z jednej strony masz Wysockiego, z drugiej jego, jak się jeszcze zwąchają, bo znają się, i to wiem, że Wysockiego na polowanie do Radziwiłłowskich lasów Mazanowski zaprasza... po prostu powiedziawszy, kiepska rzecz!!

— Panie Koniuszy — odparł Jacek — co się stało, odstać się nie może. Wola Boża.

— Pewnie, ale że źle się stało, to źle!!

O przygodzie tej zresztą ani Zadorski ani Koniuszy nie mówili nikomu, cicho było, a Jacek do wesela się przysposabiał, konie kupując, suknie sobie w Brześciu każąc szyć najlepszemu krawcowi, pierścionki już nawet ślubne gotując. Stał na nich napis ów stary:

Serce moje i twoje,
Połącz Boże oboje..

Co wieczora niemal bułanek nosił do Wólki rozkochanego, a panna Barbara teraz go coraz bliżej poznając, coraz się w nim więcej rozmiłowywała. Matka a nawet ojciec przekonywając się, jak ich serca się miały ku sobie, widzieli w połączeniu ich prawdziwą wolę Bożą.

Marzył tylko Zadorski jako sobie gniazdko uścielą w Zaruczu, które ojciec już wypuścić chciał i dwór tam nawet naprawiać kazał. Zaszło mu czasem chmurą czoło, gdy rodziców przypomniał, pocieszał się tem, że ich ukradkiem widywać będzie, a i oni też choć w kościele czasami z daleka żonę jego zobaczą. O Wysockim i Mazanowskim mało co w końcu myślał. P. Ksawery swoją zemstę teraz zmuszony był odkładać, bo zakochawszy się, czasu nie miał o niej myśleć.

A tu się okazało najlepiej, co to może niewiasta już doświadczona i we wszystkie kunszty miłosne wprawna, bo Ksawery, któremu wiele młodszych i piękniejszych stręczono, nigdy tak nie zagorzał, nie zaślepił się, nie rozmiłował, jak w tej co nie była pierwszej młodości, i twarz już miała dosyć zbabiałą, a przecież potrafiła go do tego stopnia przywiązać, że prawie dnia już bez niej wyżyć nie mógł. I okiem i słowem i uśmiechem, i śpiewką i gniewem i łaską tak nim władała, jak dobry berejter koniem, którego wodzami, głosem, piętą, ostrogą prowadzi kędy chce, i przez rów i na mur, i w ogień i w wodę.

Sam się sobie dziwował Wysocki, a nie poznawał siebie, a wyrwać się z pod panowania jej nie miał już sposobu. Wzdychał tylko do tej szczęśliwości, która go z nią spotkać miała. Prawda, że i księżna dla swej ulubienicy okazywała wielką przychylność z okazji tej konjunktury, bo naprzód całą garderobę bardzo kosztowną jej darowała, potem pensją dożywotnią obiecywała i w expektatywie zamiast gotówki na szpilki, bo tej zawsze w kasie brakło, kilkunastu chłopów na dożywocie wydzielić miała z dóbr Kodeńskich. Co się tyczy wiana, przyznała się narzeczonemu Rejentówna, że w gotowiźnie i na dwóch skryptach bardzo pewnych, miała przeszło sześć tysięcy czerwonych złotych, o których procedencji wytłumaczenie jej nie pytał. Był to owoc długich zabiegów, o których różnie prawiono, ale dzieło twórcę chwali.

Wysocki o pochodzenie dukatów ani myślał badać. Dawała mu do zrozumienia Rejentówna, że je po rodzinie w sukcesjach otrzymała.

Zbliżały się więc terminy weselne, a choć z obu stron nie wiedziano o sobie, prawie równocześnie przypaść miały...

(C. d. n.)

Ottona Hausnera

BROSZURA

„Deutschthum und Deutsches Reich“

(Dokończenie.)

Ten rodzaj pojmowania rzeczy jest stanowczem intelektualnem cofnięciem się wstecz wobec życzenia wypowiedzianego przez starego Tillę, że: „niech tylko Pan Bóg zachowa się neutralnie, a resztę ja sam zrobię“, i nie jest on odosobnionym; wypływa on z mglistego koła fałszywej dewocji, która wspólnie z *kulturkampfem* wywiązującym wyznaniową dzikość tłumu, sprowadza religijne stosunki Niemiec na stanowisko 17. wieku. Świętoszkostwo podaje rękę kłamstwu, a kłamstwo nieuczciwości, i ten trójlistek grasuje bujnie na socjalnej, ekonomicznej i politycznej niwie nowoniemieckiego państwa w sposób zastanowienia godny, wystawiając na śmiech dawną terminologję. Czyż teraz uchodzi mówić tak jak dawniej po niemiecku »*wälsche Treulosigkeit*«, »*Albions Perfidie*«, i »*bysantinische oder slavische Tücke*«, i dziękować Bogu, że nie uczynił «*die biederen deutschen Männer*« na podobieństwo onych grzeszników, czy to uchodzi po sławnem oświadczeniu hrabiego Braya, który zmusił wahającą się izbę bawarską do wzięcia udziału w wojnie z Francją w r. 1870: „że wojska francuskie już wkroczyły do krajów bawarskich“, gdy tymczasem osławiony Leboeuf jeszcze wierzył w zachowanie neutralności i nie pozwolił żadnej francuskiej wedecie zbliżać się do granicy bawarskiej; czy tak mówić można po odkryciach przez Arnima uczynionych, po notach Usedoma i Bülowa, po gawędach Buscha, indyskrecjach Blowitza i po setce innych baniek mydlanych, odźwierciadlających kłamstwa, które wychodzą na jaw z dzisiejszego życia niemieckiego. Jeśli się przytem weźmie pod uwagę inne zjawiska, jak bizantyjska cześć dla cesarza z obowiązkowem całowaniem w rękę, rozpoczętem przez sędziwego, sławą okrytego dowódzcę naczelnego armii, jak szukanie sławy według francusko-imperjalistycznego wzoru, które się pojawia w tysiącach pomników wojennych i Viktorji we wszystkich miejscach, gdzie kilkunastu strzelców lub landwerzystów w walce z wrogiem odwiecznym okryło się „Gloirą“, albo padło w boju, w uroczystościach Sedanu odbywających się przez lat dziesięć, w pomnikach żyjących ludzi, w tytułach i nazwach ulic wziętych z miejsc gdzie się zwycięztwa odniosło. Jeśli się dalej weźmie na uwagę obfite dotacje zwycięzkich generałów, obrzydliwy brak wszelkiej wielkoduszności w szczwających mowach Dubois-Reymond'a i w sprzeciwieniu się uniwersytetu Getyngenskiego, który nie chciał polecić, aby szanowano skarby sztuki i nauki przy oblężeniu Paryża, dalej wylewy dzikiego samochwalstwa na przyjacielskich bankietach na obczyźnie takiego Ryszarda Wagnera lub Mommsena, prawne uzasadnienie wszelkiej samowoli przez eksrepu-

blikana Bluntschlego, denuncjacje mężów na takiem stanowisku jak Sybel i Piloty, jeśli się to wszystko weźmie pod uwagę, to się odszuka tam tysiączne symptomata głębokiego zakorzenienia się obczyzny, przeważnie byłych i częścią przezwyciężonych błędów i słabych stron pobitego nieprzyjaciela. Wskutek tego usunięte zostały ze skarbnicy niemieckich cech charakterystycznych prostota, skromność, umiarkowanie, zamiłowanie prawdy i naturalne poczucie prawa, a na ich miejsce zaszczepiono zupełnie nowe niemile zmieszane właściwości.

Szowinizm, ta rzecz tak marna, ukrywająca się pod barbarzyńską obcą nazwą, zgermanizowała się zupełnie, wzrosła przez tę metamorfozę i stała się czemś straszliwem, groźnem i wstrzymującem rozwój ludzkości. Ten germański szowinizm przeszkodził zjednoczeniu stopy monetarnej i innym licznym umowom międzynarodowym, on to zachowuje pismo gotyckie, chociaż ono bierze początek dopiero od mnichów 13. wieku,i przeszkadza rozszerzeniu się wiedzy niemieckiej na zewnątrz, on to czyni ciągłe napaści na używanie jednej dyplomatycznej i naukowej kongresowej mowy, on zamienia wielki, gościnny język niemiecki przez wypędzanie słów cudzoziemskich na zabawną mowę Stephana, on przedewszystkiem przyczynia się do stracenia sympatji, które pomimo wszystko u niejednego narodu są przechowywane dla wspaniałych właściwości niemieckich, a które się mało ceni w zwycięztwie i szczęściu, lecz stratę ich boleśnie odczuwa, gdy cios uderzy. I jakież są owoce tej z góry popieranej metamorfozy niemieckiego ducha? Są one widoczne i dosyć gorzkie; można to powiedzieć nie wpadając w przesadę i płytkość Tissota.

Jeżeli zostawimy na boku te siły i zdolności, które używane bywają bezpośrednio do celów państwowych, do organizmu administracyjnego, jeśli wyłączymy dziedzinę ścisłych nauk, na którą mało wpływają prądy czasu, a w której dzieją się wielkie rzeczy, to przekonamy się, że życie duchowe, bogactwo intelektualne Niemiec, znajduje się w widocznym wstecznym rozwoju od lat dziesięciu i produkcja w sztuce i literaturze wykazuje z każdym rokiem coraz gorszy stosunek między przybytkiem ilości, a zmniejszeniem się treści. Nie chcę tu kłaść nacisku na upadek liryki, niegdyś specyficznie niemieckiego klejnotu, bo ten upadek wszędzie się pojawił, chociaż nie tak dobitnie. Francja ma jeszcze takiego Wiktora Hugo i Franciszka Coppeégo, aby opłakiwali jej wstyd i porażkę; sława i zwycięztwo Niemiec nie znalazły żadnego piewcy, jeżli się do nich nie zaliczy pół officjalnych Biedermeyerów. Hammerling jest Austrjakiem i w lepszych dniach przyszłości będą się dziwić, jak można było robić tyle wrzawy z Szefflem i Griesebachem. Świątynia sztuki dramatycznej stoi pustkami. Pełne frazesów historyczno-ojczyste sztuki, które są zapominane po roku i dramata literackie pokryte pyłem książkowym, nie mają ani jednej postaci ze krwi i ciała, ani jednego prawdziwie dramatycznego charakteru. Komedja trzyma się ciągle przestarzałych szablonów, albo upada, nawet na scenach dworskich do rzędu farsy. Ale za to najpospolitsze i najbrudniejsze dzieci nieprzyjaciela odwiecznego, feerje, operetki, tłuste farsy i tingeltanglowe pienia, stworzyły w Niemczech szkołę. Również beznadziejnie przedstawia się powieść współczesna. Dwaj najlepsi pisarze wcześniejszej epoki: Auerbach i Freytag ulegli procesowi spłaszczenia się i kto przeczytał „Przodków“ (Die Ahnen) w całości, ten może ubiegać się o Montyonowską nagrodę za czyny poświęcenia. Tylko archiwista Ebers i monotonnie według angielskich wzorów pisząca Marlitt, zasługują na uwagę. Kto jednak chce widzieć bieżącą epokę w najwstrętniejszem portretowem podobieństwie, niech czyta Melsa i Samarowa.

Najgorszą drogę obrało dziejopisarstwo. Tam, gdzie niedawno uczyli ludzie tak wysokiego ducha, dalekiego wzroku, moralnej powagi i ścisłej przedmiotowości, jak Szlosser, Gervinus i Ranke, tam dziś włada taki Treitschke, ze swą pseudo-historją raz polemicznie szczypiącą, to znów kadzącą, pisany z ciasnego, najbardziej stronniczego stanowiska w dziennikarskiej formie. Za wyjątkiem Gregorowiusa, który zachował stare, lepsze tradycje, i zajmuje się przedmiotami zagranicznymi, wszyscy dzisiejsi niemieccy historycy, chociaż nie są takiemi karykaturami jak Treitschke, lecz są opanowani przez stronniczość i umyślne nakręcanie faktów, a nawet tak silny niszczyciel fałszywych wielkości, jak Jan Scherr poddaje się pokusie sądzenia z olimpijskiego tronu "pierwszego narodu cywilizowanego ziemi“ z perspektywy á vol d'oiseau, o innych narodach tam gdzieś nizko na dole się poruszających. W całości dzisiejsza niemiecka literatura podobną jest co do swej próżni i bezbarwności, co do swego nieodpowiedniego stosunku do rozwoju potęgi państwa, do francuskiej literatury pierwszego cesarstwa i tutaj, jak i w wielu innych rzeczach, los ironiczny tak zrządził, iż zwycięzca bezwiednie i niewłasnowolnie skopiował pogardzonego i zwyciężonego przeciwnika. Niemieckie malarstwo straciło styl wielki i ideały, a świetna technika wirtuozów »*alla Macchia*« nie zdoła wynagrodzić trywialności typów, szorstkiej »*Kraftstoffelei*« i próżni w pojęciu.

Setki zamawianych uwieczniеń „Gloiry“ nie wywołały ani jednego znakomitszego rzeźbiarza a architektura bardzo dobra w naśladowaniu wszystkich stylów i czasów nie zdołała stworzyć nic szczególnego i odrębnego. W najbardziej niemieckiej ze sztuk wszystkich, w muzyce, można uwielbiać ich boga w Ryszardzie Wagnerze, jeśli się ma wiarę po temu, a musi się opłakiwać dawnych mistrzów, gdy się ma słuch niewierny. Przemysł niemiecki nie dochował w Filadelfji dawnej sławy, według zeznań Reuleaux i usunął się z walki na ostatniej wystawie Paryskiej. Ekonomiczne, szczególniej finansowej natury niepowodzenia są znane całemu światu i niejeden wysoko położony, a uważany za czystego, stracił w rozbiciu więcej niż swe dobra i mienie. Życie prawne, które mogło w r. 1871 przez wydanie nowego kodeksu karnego wykazać się częściowo pewnym nabytkiem, wiele ucierpiało od tego czasu, od praw wyjątkowych, od godnej odrzucenia tendencji do efemerycznych stosunków i zastosowywania, na wzór leków symptomatycznych, specjalnych ustaw dla zapobieżenia złu chwilowemu.

Duch kastowości, spory stronnicze i Kulturkampf, przerwały towarzyskie stosunki i niemiecka „Gemüthlichkeit“ stała się zamarłym mitem.

Gdzie spojrzeć w szerokiem, niemieckiem państwie, wszędzie ziarno nie odpowiada błyszczącej skorupie, głębokość potężnemu rozrostowi w szerz.

Jeżeli więc już teraz dla obywatela niemieckiego państwa, obecny jego charakter, teraźniejsze tendencje nie wydają się odpowiedniemi istocie niemieckości, jakżeż więc Niemcy austrjaccy mogą się zgodzić na to dziwne pomieszanie dwóch tak różnych pojęć, jak „niemieckość“ i „niemieckie państwo.“ Toż właśnie ci Niemcy austrjaccy nie dostają nic z owych błyskotek i paciorków etycznych t. j. ze świadomości swej potęgi, podniesionego poczucia własnej mocy, zadowolonej dumy, w zamian za doznane straty i ofiary, owszem błogosławieństwa militaryzmu, ograniczenie władzy parlamentów, ekonomicznych stosunków i symptomatologiczne prawodawstwo państwowe, są artykułami importowanemi z niemieckiego państwa, które nie są wstrzymywane żadnem cłem. I jeżeli do tego importu nie przyłączyły się socjalizm i Kulturkampf, to mogą sobie Niemcy austrjaccy powiedzieć, że zdrowy rozsądek większości narodów austrjackich postawił przeciw temu najskuteczniejsze cła ochronne.

Czyż niemieckie stronnictwo konstytucyjne nie walczyło wytrwale i nie bez sławy, jakkolwiek bez zwycięztwa przeciw narzuconym nam przez niemieckie państwo ciężarom i ofiarom na zwiększenie pogotowia wojennego, przeciw nieszczęsnemu próbnemu polu tego pogotowia? I czyż ja, w stanowczej chwili, przy niesłychanie obfitym oklasku, nie połączyłem mego protestu przeciw temu — z Berlina poleconemu — działaniu? Czem się więc to teraz dzieje, że to samo stronnictwo wiernokonstytucyjne, zwraca się teraz przeciw mnie, gdym wziął pod rozwagę, idąc od skutków wydających się nam wszystkim zgubnemi w górę do ich źródła, czy nie można byłoby odszukać na przyszłość lepszych kombinacji, niż to przymierze żądające tak ciężkich ofiar i tak drogo okupione. I to stronnictwo zwraca się przeciwko mnie jedynie dla tego, że jest ono stronnictwem niemieckiem, i że państwo, na którego tendencje i wymagania napadałem jest państwem niemieckiem. I z powodu tej, tutaj zresztą podrzędnej okoliczności wspólnej narodowości, moje wystąpienie przeciw postępowaniu niemieckiego państwa ma być napaścią na niemieckość, i to jeszcze na niemieckość w Austrjackiem państwie?! Wszakżeż niemieckość w austrji, reprezentowana przez swych zastępców w Radzie państwa, protestowała niejednokrotnie i konsekwentnie przeciw naśladowaniu postępowania państwa niemieckiego w jego trzech najwybitniejszych formach: przeciążeniu wydatków na wojsko, polityki zaborczej i ograniczeniu władzy parlamentów, dlaczegoż więc teraz indentyfikować się z wzorem, z twórcą zwalczanych poprzednio tendencji? Aż do ostatnich czasów, raz się to tylko wydarzyło, że reprezentant narodu, który się zawsze zaliczał do przeciwników militaryzmu i polityki zaborczej, z dziwną niekonsekwencją mówił o rzekomo istniejącem życzeniu zlania się ze źródłem głównem militaryzmu i polityki zaborczej, w słowach: „wären wir schon einmal deutsch“.

Ten poseł pozostał odosobnionym i zbijano jego wywody, chociaż nie był on tak napadanym, jakby to miało miejsce z południowym Tyrolczykiem, gdyby się w analogiczny sposób wyraził o Włoszech, lub z południowm Słowianinem, gdyby tak mówił o Serbji. W tych wypadkach uważanoby to powszechnie za zdradę stanu. W każdym razie ogólna nagana mowy Schönerera mogła wtedy (1879) nakazać wierzyć

iż pojmowaną i odczutą jest dobrze przepaść dzieląca niemieckość w Austrji od państwa niemieckiego. Otóż to pojęcie i to poczucie nie wystąpiły niestety na jaw po mojej mowie z d. 12. marca, gdyż moje życzenie zobaczenia Austrji wyemancypowanej od wpływu potężnego i narzucającego militaryzm a politykę zaborczą sojusznika, było tak pojętem, jakby było wystąpieniem wrogiem przeciw niemieckości w Austrji.

To z gruntu fałszywe i wysoce niesprawiedliwe tłumaczenie słów moich uważałem za konieczne zbić w mych poprzednich, wywodach uważam za konieczne przyłączyć do nich poważne i w głębi duszy uczciwie przeze mnie postawione wezwanie do niemieckiego stronnictwa konstytucyjnego: niech jego reprezentanci nie widzą wszystkiego w czarnych kolorach i niech nie uważają sobie takich rzeczy, które na szczęście nie istnieją, niech nie wmawiają ani żadnemu z moich rodaków ani żadnemu z polskich reprezentantów narodowej nienawiści przeciw niemieckości, bo tej nienawiści nie masz w naszych sercach, a tylko przejawia się ona w zjadliwych wycieczkach złośliwych szczwaczy albo w dziecinnych sprawozdaniach głupich korespondentów do gazet z Galicji. Niechże nikt nie mięsza sprzeczek o większą albo mniejszą autonomię, sporów o kompetencją rady państwa i sejmów, walki o centralicją albo federalizm z nienawiścią narodowościową, która wobec teraźniejszych stosunków przynajmniej u nas, nie ma żadnego uzasadnienia. Przecież my wiemy, że nawet w tych nieszczęsnych czasach, gdy oficjalny germanizatorski systemat wygnał nasz język z urzędu, sądu i szkoły, gdy każdy nauczyciel ludowy był podobnym do operatora i tępiciela języka macierzystego i gdy, oskarżonemu o zbrodnię, zasługującą na karę śmierci przedkładano do podpisu protokół, napisany w niezrozumiałym dlań języku, że nawet wtedy wielka masa Niemców austrjackich nie należących do stanu urzędniczego nie zaostrzała, na wzór swych pruskich pobratymców, zła wynikającego z twardego i nienaturalnego systematu, nie oddawała rządowi takich usług dobrowolnych, pachołkowych i pionierskich, przeciw polskości i pamiętając o tem, gdy nam powrócono nasz język, nawet z najskrajniejszej strony nie robiono najmniejszej próby naruszenia niemieckich kolonij w naszym kraju w ich posiadania całkowitej autonomji z ich niemieckiemi pastorami i niemieckiemi szkołami, co ci niemieccy koloniści sami przyznają i przy wyborach są zawsze naszymi wiernymi sprzymierzeńcami przeciw kandydatom rusofilskim.

Nie należy więc zaostrzać i utrudniać walki stronnictw, i tak trudnej do rozwiązania i wiele trudności sprowadzającej, przez wzniecanie bezpodstawnych obaw i insynuacji.

Niema ani jednego Polaka w Austrji, idącego jak najdalej w swoich wymaganiach co do autonomji, któryby jednak był tak zaślepionym i tak politycznie niedojrzałym, żeby zbyt nizko cenił wysokie znaczenie elementu niemieckiego dla Austrji, zapoznawał lub chciał naruszyć całkowite uprawnienie nimieckości. Lecz z drugiej strony my możemy także oczekiwać również jasnego poglądu i podobnie dojrzałej rozwagi ze strony niemieckiej, przedewszystkiem jednak przypuszczać, że Niemcy austrjaccy nie będą solidaryzowali się i identyfikowali swego cywilizacyjnego zadania zewnątrz państwa, z tendencjami obcego, zaczepnego i dotkliwie teraz szkodzącego mocarstwa, jakby to można było sądzić z niektórych zbyt gorliwych artykułów dziennikarskich.

Kto bez uprzedzenia zaszczyci to, com wyżej wyłożył dokładną rozwagą, ten uważać będzie następne moje słowa, jeżeli nie za bezwzględnie słuszne i niezbite, to przynajmniej jako stały i prawdziwy wyraz moich przekonań.

Po pierwsze, w moich przypuszczeniach i życzeniach stoję w zupełnem przeciwieństwie z przypuszczeniami i życzeniami barona Hübnera, z którego mową — rzecz nie do uwierzenia — porównano moją. Baron Hübner brał nieprzyjaźń Niemiec i Rosji zupełnie na serjo i z tego powodu oświadczył się przeciw niemieckiemu przymierzu, gdyż sojusz z Rosją wydawał mu się cennym, a w tamtej kombinacji nie do osiągnienia. Ja uważam nieprzyjaźń Niemiec i Rosji za chwilowy symptomat i głównie z tego powodu niechętnie się zapatruję na alians niemiecko-austrjacki, że się on z dzisiaj na jutro może zmienić, przez wstąpienie Rosji w święte przymierze.

Powtóre, uważam polityczne przymierze z jednoczesną wojną ekonomiczną jako nie do utrzymania na czas dłuższy.

Potrzecie, obawiam się ze strony związku niemieckiego, a jeszcze w wyższym stopniu od jego uzupełnienia, od swiętego przymierza, oprócz nieprzewidzianych skutków tą drogą wywołanej polityki zagranicznej, jeszcze szkodliwszego wpływu na nasze wolnościowe stosunki wewnętrzne.

Poczwarte, uważam dzisiejsze państwo niemieckie jako zupełnie niezgodne z prawdziwą niemieckością, tak, że albo to pierwsze, albo ta ostatnia muszą się gruntownie przekształcić, jeśli trwałem ma być dzieło z lat 1866—70.

Jeśli ktokolwiek po tych moich w czterech punktach skondensowanych wywodach uważać mię będzie za pałającego nienawiścią do Niemiec, albo pachołka rosyjskiego, to niech on tę sprawę załatwi ze swem sumieniem i ze swą siłą sądzenia.

Na zakończenie jeszcze ta uwaga, że pomiędzy napisaniem a złożeniem tych wierszy, wypadki rozwijać się zaczęły z taką szybkością, że wystarcza ona, aby niektóre z mych przepowiedni stały się prostemi skonstatowaniami faktów, jak naprzykład owego zapowiedzianego pogodzenia się Niemiec z Rosją.

O tronie elekcyjnym domu Jagiellonów w Polsce

przez

Kazimierza Stadnickiego.

(Ciąg dalszy.)

Jakkolwiekbądź, przeciw temu wyborowi nikt protestu nie wniósł, i deputacja z łona rady koronnej wybrana, udała się natychmiast do Wilna, aby oznajmić W. Księciu, że jest królem polskim, jednakowoż z warunkiem, jeżeli pierwej sankcję swą nada ustawie z 3. października r. b., co utworzyła jedno państwo z Polski i Litwy. Spotkali się z nim na pół drogi w *Mielniku*. Bojąc się bowiem knowań brata króla Węgier, Władysława, podczas gdy sejm w Piotrkowie obradował, Aleksander stanął nad Bugiem z pocztem tysiąca kilkuset zbrojnych. [87]) Owczesne jego położenie historyk jeden dobitnie skreślił: „W. Ks. Moskwy, mówi, dwie części Litwy podbił i do państw swych wcielił, a Aleksander nie mógł ostać na pozostałej mu trzeciej części. Zgromadziwszy 12,000 jazdy i piechoty przeciw Moskwie, nie był on w stanie wypłacić im żołdu, tożsamo car Tatarów zawołżańskich, który na jego wezwanie przyprowadził mu kilka tysięcy ludzi.“ [88]) A do tego stosunek groźny z możnym teściem i spiski domowe nieustające. Jakże więc nie miał przystać na ustawę, która go robiła królem wielkiego i zjednoczonego państwa. Udzielił więc jej za przyzwoleniem rady litewskiej sankcję swoją na dniu 23. października r. 1501 i odtąd stał się elektem na tron polski. [89]) Królem zaś został 12. grudnia r. 1501 po koronacji swej w Krakowie.

A ustawa, co prócz innych korzyści, zapewniała królowi w zjednoczonem państwie dziedzictwo tronu, które rodowi jego dotąd tylko w Litwie służyło? Wszystko sprzyjało niezwłocznemu wprowadzeniu jej w życie. Kardynał Fryderyk, twórca jej, został z poręki brata mianowanym gubernatorem Polski. [90]) Zacięty na zięcia swojego Jan W. kniaź Moskwy, gdy tenże został królem, odstąpił od oblężenia Smoleńska i zawarł z nim sześcioletnie zawieszenie broni. [91]) Z drugiej strony równoczesne napady Tatarów na ziemie polskie i rusko-litewskie wskazywały nadto dobitnie potrzebę pomnożenia sił odpornych, złączając oba wojska pod jednem przewodnictwem. Nieposlednia frakcja kniaziów i bojarów Litwy była bezwątpienia zjednoczeniu przeciwną. Ale prócz zbiegostwa do Moskwy, zkąd niejeden wracał, cóżby stanowczego dokonać mogła wobec wytrawnej dyplomacji rady koronnej polskiej z kardynałem na czele. Świadczą dzieje, jak słabym był jej opór lat kilkadziesiąt później przy zawarciu Unji litewskiej, pod warunkami daleko niekorzystniejszymi dla W. Księstwa, gdy Zygmunt August jednym pociągiem pióra cztery obszerne ziemstwa, Wołyń, Ukrainę, Bracławskie i Podlasie, od tegoż oderwał i Polsce przyznał, a co do piątego (Podole), milczenie nakazał. Pomimo to, wielki pomysł męża stanu, twór władzy prawodawczej, na sejmie elekcyjnym polskim przyjęty przez władzę prawodawczą litewską i panującego W. Księcia, słowem prawo kardynalne dla państw obu, nietylko nie weszło w życie, ale poszło zupełnie w zapomnienie. Sejmy

87) Wapowski a za nim Stryjkowski mówią, że to spotkanie nastąpiło w Brześciu litewskim. Ale przecież w Mielniku W. Książę sankcjonował ustawę rzeczoną i drugą tak zwaną mielnicką, o której powyżej mowa.

88) Skarbiec Litwy Daniłowicza t. IIgo str. 258—9 ustęp ostatni.

89) Ustawę ową zatwierdził Aleksander na dniu 23go października r. 1501 jako W. Książę Litwy. (Obacz zbiór praw lit. i Vol. legam.) We dwa dni później, t. j. 26. października, zatwierdził ją (obacz Jus pol. Bandkiego) już jako elekt na królestwo polskie. Widocznie więc, zanim został uznanym królem, sankcjonować musiał powyższą ustawę. Tożsamo mówi Miechowita: »ad acceptandum juramenta ducis Lith. Alexandri et dominorum Lith. et missi etc. etc«.

90) Kronika Miechowity oddz. 80.

91) Joannes M. dux Moscoviae veritus ne regia agmina Sarmaciae (Polski) ingrederentur oratoribus ad Alexandrum generum missis inducias cum eo sexennales pepigit. Wapowski — Traktat z Moskwą w Skarbcu Litwy. T. IIgi r. 1503.

następne rozprawiały wiele o Unji, zawsze bezskutecznie; o zlaniu w jedno państwo, nie było mowy. Sejmy, rząd, siła zbrojna, prawodawstwo, wszystko pozostało w dawnej odrębności; wybór nawet W. Księcia, jak niżej zobaczymy.

Najwięcej w tem uderza bierność rady koronnej polskiej wobec własnego dzieła. Kanclerz Jan Łaski na zjeździe Panów litewskich w Brześciu r. 1505 nagli w imieniu senatu na zawarcie Unji, jakby sprawy całkowicie nowej. [92]) O ustawie już moc prawa mającej, i która miała większą niż Unja doniosłość, ani słowa. Z powodu śmierci króla Aleksandra taż rada koronna wysyła list kondolencyjny do księcia Zygmunta. W tym wyraża tylko nadzieję, że Unja utrzymaną i uzupełnioną będzie, oraz go wzywa, aby czuwał nad swą dziedziczną (patrimonium) Litwą. [93])

Nie mamy co do tej epoki dat, któreby nam tę zagadkę wyjaśniły. Historycy (Miechowita, Wapowski, Kromer) milczą, bo milczeć musieli, jak świadczą o tem losy pierwotnego wydania Kroniki Miechowity. Co do Litwy podają więcej szczegółów, ale i te czerpane z litewskich latopisów, nieśmiałych i prawie pokornych kroków rady koronnej, kiedy miała prawo za sobą nie tłumaczą. [94]) Któż zaś wierzyć będzie, że spór Aleksandra ze senatem litewskim, z powodu nadania, przeciw statutowi krajowemu grodowego starostwa w Lidzie, krewnemu Michała Glińskiego, ulubieńca królewskiego, rozjątrzy do tego stopnia, że przypisywano łagodnemu Aleksandrowi na zjeździe w Brześciu litewskim roku 1505 zamiar utopienia w Bugu senatorów katolików, jak biskupa r. k. w Wilnie, Alberta Tabor, Jana Zabrzezińskiego, wojewody trockiego, Stanisława Zarnowec, starosty żmudzkiego, Stanisława Kiszki, hetmana wojsk litewskich, którzy główną jego powinni byli być podporą. [95]) Również trudno przypuścić, aby z tego powodu król wszystkich tych dygnitarzy odsądził od czci (*infamatorum*, jak mówi Kronika Miechowity w pierwszem wydaniu), i nie dał się przebłagać, gdy na wiekopomnym sejmie w Radomiu (roku 1505) ci przybyli w tym celu, a senatorowie koronni gorąco się za nimi wstawili, [96]) nakoniec na tym sejmie, pomimo gniewu królewskiego, pierwszy senator Litwy biskup r. k. z taką stanowczością bronił praw i przywilejów Litwy, grożąc zemstą bożą *każdemu* co je naruszy, że król przerażony, paraliżem tknięty został. [97]) Nie. Prywatne spory były tylko maską, pod którą kryto jądro sprawy, t. j. ustawę mielnicką. Chciano ją wycofać, a król przeciwnie zostawił wymowny ślad po sobie, że zlanie Litwy z Polską, na które przystał bezwarunkowo, nie było mu czczem słowem.

W ostatniej woli z dnia 24. lipca r. 1506, a więc na brzegu grobu spisanej, przyczem obecny był nasz Jan Łaski, kanclerz koronny, oświadcza, że chce być pochowanym w Krakowie obok zwłok królów, dziadów swych, postanawia egzekutorem tej swojej woli oraz opiekunem wdowy po nim, W. Księżnej Litwy i Rusi, Heleny, Zygmunta brata, dziedzica i następcę swego („haeredi et successori nostro"). Ale rzecz uwagi godna, tego swego brata i następcę nazywa on księciem opawskim i głogowskim na Szlązku, rządcą jeneralnym (capitaneum generalem) wyższego i niższego Szląska oraz Luzacji, *ani razu* zaś W. Księciem Litwy, lecz za to, wyprzedzając elekcję, tytułuje go z Bożej łaski królem polskim. Cóż zaś ustawa z 3. października r. 1501 mówi innego, jak że ma być jeden król wspólny obu narodom. Aleksander dalej idzie nawet, bo gdy, według ustawy, król ów ma być wybranym, dla niego jest to już pewnikiem, że królem wspólnym nie może być inny, tylko Zygmunt, tak jak w Litwie on może być tylko jego następcą. Jest to jakby inauguracja dziedzicznego tronu jednego dla Polski i Litwy. [98]) (C. d. n.)

---

92) Obacz »Sejmy polskie za Olbrachta i Aleksandra« w Ateneum w Warszawie wychodzącem. T. IIgi str. 337.

93) Unionem inter Pol. et Lith. retinere et ad integritatem reducere. Acta tomiciana t. I.

94) Rękopisma tyczące się tej epoki przechowane w Krakowie (obacz notę 92). Archiwum książąt Radziwiłów w Nieświeżn i archiwa tajne w Petersburgu, tudzież zakonów w Prusiech i Inflantach, jedne mogą podać możność wyświecenia spraw owych.

95) Wapowskiego Kronika nowe wyd. str. 55. Miechowita Isze wydanie z r. 1519 mówi zaś tylko, że ci senatorowie nie zostali przypuszczeni do rady, i to jak mówią z namowy Glińskiego. Co w drugiem wydaniu, niby to poprawnem, tej Kroniki (rozdział 81) z roku 1521 tak zmieniono, że zjechali do Brześcia, ale udziału w naradach brać nie chcieli, z powodu zasadzek na życie ich ze strony Michała Glińskiego. Zajście owe w drugiem wydaniu bardzo zawile opowiedziane. Zapewnie były do tego powody.

96) Sejm ów w Radomiu zagajony 30. marca r. 1505, zamknięty 31. maja t. r., pamiętny jest w dziejach prawodawczą swą czynnością, gdyż nietylko wydał kilka ustaw kardynalnych, pod przewodnictwem króla i staraniem kanclerza Łaskiego, ale i kodyfikacją dawnych praw po części dokonał. Nie wiadomo z jakich powodów Kronika lit. (wydanie Narbutta str. 75) mówi, że zagajonym został na dniu św. Kosmasa i Damiana, t. j. według greckiego kalendarza 1. listopada, co Stryjkowski, który się ściśle tej Kroniki trzyma, na dzień Wszystkich Świętych, według rzymskiego kalendarza, przenosi.

O ukazaniu się na tym sejmie dostojników litewskich, by przeprosić króla, tak mówi Kronika Miechowity w Iszem wydaniu z r. 1519: »Item reconciliationem dominorum Lith. infamatorum, ut dicitur sine causa, consiliarii regni Pol. curabant cum rege Alexandro componere. Nec poterant efficere rege nolente et malevolis ac suggestoribus ei impedientibus. Id. circa infecto negotio Lithuani post dominicum Trinitatis (25. maja) discesserunt etc.« Więc król nie dał się przebłagać.

Przeciwnie drugie cenzurowane wydanie tej Kroniki mówi: ad vota et intercessiones consiliarorum rex Pol. promitteret, quam primum ad Lith. rediret eos in suam pristinam gratiam admittere!«

97) Kron. lit. wydanie Narbutta str. 75. Co mówi, że król w Radomiu paraliżem tkniętym został, potwierdza Kron. Miechowity w obu wydaniach.

98) Acta tomiciana t: Iszy appendix szósty.

LISTY T. T. JEŻA.

(Postrzeżenie co do dzieci — Zapytania — Obowiązek publicystyki — C'est le ton qui... — Retoryka nie na miejscu swojem — Zamiar wystawy p. A. Krywulta — O wystawach przenośnych — O powodzeniu takowych w Szwajcarji — Kwestja lokalu — W Szwajcarji a u nas. — Tow. sztuk pięknych — Skromna subwencja — Inicjatywa prywatna — Pośrednictwo — Skazówki dla p. A. K. — Piękno a dobro.)

Potrącę o spraw parę znaczenia ogólnego, z których jedna odnosi się do czasupiśmienictwa naszego.

Zadziwiającym jest zapał, z jakim dzieci czytają gazety i pisma czasowe. Jest to postrzeżenie, własność którego dla siebie reklamuję: nie słyszałem bowiem i nie czytałem, ażeby kto na fakt ten uwagę zwrócił. Zafrasowałby on mnie na obczyźnie, nie wiem, jak rzecz ta stoi u was; dzieci nasze innemi może we względzie tym natura obdarzyła skłonnościami, aniżeli dzieci francuskie i szwajcarskie. Te ostatnie rzucają się na gazety — najświeższe, najdawniejsze, poważne, niepoważne, to im wszystko jedno. Widziałem *Journal des Débats* ze starej daty w rękach smarkacza ośmioletniego. Nie czytają one, rzecz prosta, artykułów wstępnych; nie obchodzą ich korespondencje polityczne, ani felieton, ani opracowania naukowe. Rubrykę przez nie ulubioną stanowią rozmaitości, które pożerają. Rzecz naturalna, biorą to, co im do główiny przystaje i zarazem zaspokaja wrodzoną dziecinnemu wiekowi ciekawość, nie zadowalniającą się lada czem. Ciekawości dziecinnej nie zaspokaja materjał rozmaitościowy zwyczajny, pospolity. Goni ona za wypadkami, frapującemi imaginację, zadziwiającemi. Pytanie: do jakiej wypadki tego rodzaju należą sfery? — czy nie do sfery zbrodni? A jeżeli do sfery tej należą, to: — w jaki sposób oddziaływać one mogą na umysły dziecinne?

Zapytania te zawierają odpowiedź w sobie; a odpowiedź ta zaostrzoną jest przestrogą; a ostrze takowej zwraca się do pedagogów, do rodziców i do dziennikarzy — najbardziej atoli do tych ostatnich, z tej racji, iż pozostają oni u publiczności na służbie i obowiązani są służyć jej dobrze.

Cóż oni robić mają? — nie podawać kategorji pewnej faktów do wiadomości publicznej? Nie. Nie podawanie, ale sposób podawania sprawia wrażenie. *C'est le ton qui fait la chanson.* Rzecz opowiedziana sucho i krótko, nie zatrzyma uwagi na sobie i nie przyczepi się do mózgu ośmio, dziesięcio, dwunastoletniego pod postacią obrazka, namalowanego kolorami jaskrawemi. Sposób opowiadania, retoryka — stanowi tu zło główne. Dziecko miernie obchodzi to że ktoś tam zamordował kogoś, że ktoś pierwszy miał lat dziesięć a drugi trzy, że morderca pozostawał do ofiary w stosunku brata do siostry; zainteresuje się jednak żywo faktem tym, jeżeli takowy pokaże się mu w szczegółach najdrobniejszych, otoczonych fioriturami stylu wykwintnego, czyniących z faktu nagiego ciasteczko oblukrowane. Czyżby nie można retoryki zachować na coś lepszego? Gdzie jednak aplikacja ta retoryki najmniej na miejcu swojem być się nam wydaje, to w pismach obrazkowych, podwójnie dla niedorostków ponętnych. Te, rzadko wychodząc i nie mając za specjalne zadanie donoszenia o wypadkaeh codziennych, obejść by się mogły całkowicie bez wiadomoćci sensacyjnych w sensacyjny podanych sposób.

Nie wiem — powtarzam — czy dzieci nasze te same posiadają skłonności, co francuskie i szwajcarskie. Jeżeli nie, to nie dla tego, przypuszczać należy, iż je natura utworzyła inaczej, ale dla tej może przyczyny, że ludzie dojrzali wstrzemięźliwymi będąc w czytaniu, nie pociągają ich przykładem, nie udzielają im pociągu do druków. Pociąg ten atoli nie tkwi w naturze; jest sztucznym: zaszczepia się, wzrasta i rozwija, w miarę jak się szerzy oświata. Przypuszczać przeto godzi się, że i u nas, gdy ludzie dojrzali poczną czytać więcej, gdy dom każdy napełni się książkami, pismami czasowemi, wówczas w naszych dzieciach obudzi się i rozwinie pociąg do czytania. Obyż, gdy czas ów nadejdzie, nie kar-

miły one umysłów młodocianych rozmaitościami sensacyjnemi.

Wyraziwszy życzenie to, którego poparcia spodziewam się ze strony ojców i matek, przejdę do materji innej, odnoszącej się jednak zawsze do spraw znaczenia ogólnego.

W rozmaitościach podawanych przez pisma nasze wyczytałem wiadomość o zamiarze zaprowadzenia wystaw malarstwa przenośnych. Pomysł ten powziął pan Aleksander Krywult. Wydaje mi się on świetnym i wielce pożytecznym; przesyłam pod adresem onego poklask i uznanie, na których panu A. Z. niezależy zapewne; i do poklasku atoli i uznania dołączam zawiadomienie, tyczące się praktycznej wystaw tego rodzaju strony, która przydać się może tak panu A. K. jak publiczności, powoływaną być mającej na te gody artystyczne. Wystawa przenośna nie jest to rzecz nowa. W Szwajcarji są one w użyciu od dawna i powodzenie ich jest tak dobrem. o ile najlepszem być może. Mówię o powodzeniu finansowem, przynoszącem zyski z góry zapewnione, a zapewnione w ten sposób, że strata jest prawie niemożliwą — prawie, powiadam, redukuje się bowiem do kosztów opakowania, przewozu, urządzenia i obsługi sali. Wydatki te pokrywa rozprzedaż biletów wstępnych. Lokal udziela miasto bezpłatnie, co stanowi dla przedsiębiorstwa punkt ważny, który i u nas rozstrzygniętym by mógł być na sposób szwajcarski. Wystawy, takie jak malarstwa, niosą korzyść cywilizacyjną. Wziąwszy własciwość tę na uwagę, zaofiarowanie wystawcy lokalu, w którymby mógł wygodnie i bezpiecznie obrazy porozwieszać, wchodzi do kategorji obowiązków, jakie miasta mają w odniesieniu do swojej i do okolicznej ludności. Spełnienie obowiązku tego kosztuje albo nic, albo bardzo mało, zawsze bowiem jest sala jakaś, bądź to w ratuszu, bądź gdzieindziej, będąca własnością gminy miejskiej i zależąca od zarządu takowej. Lauzanna na wystawą oddaje muzeum; Genewa — pałac elektoralny. Po miastach naszych muzeum i pałaców elektoralnych niema; w każdym atoli znajdzie się lokal jakiś obszerny, a w nim pomieszczenie na paręset płócien i kartonów.

Wystawy przenośne szwajcarskie są instytucją pozostającą pod opieką rządu federalnego. Zawiaduje niemi Towarzystwo szwajcarskie sztuk pięknych, pobierające od rady związkowej subwencję w ilości 6.000 franków rocznie, przeznaczeniem której specjalnem jest zakupno obrazów dla muzeów, jakie posiada każde prawie z miast znaczniejszych. Towarzystwo to czuwa nad dziełami sztuki, będącemi bądź pozostałościami czasów dawniejszych, bądź też pomysłami nowemi, na poparcie zasługującemi. Za jego to staraniem stanął w Stanz pomnik piękny dla Winkielrida; pod jego kierownictwem odbywa się w chwili obecnej restauracja kaplicy Wilhelma Tella. Subwencja skromna nie wystarczyłaby na to wszystko. To też jest ona tylko ogniskiem czynności, mającej na celu budzenie i utrzymywanie w kraju zamiłowania do sztuk pięknych, zamiłowania, tłumaczącego się za pomocą gotówki ze szkatuł prywatnych. Towarzystwo wywołuje, wytwarza prywatną inicjatywę, która kołata o fundusze potrzebne i rzadko kołata na próżno. Na wezwanie jej sypią się pieniądze, znaczne niekiedy. Ognisko sześcio-tysiąco-frankowe ściąga tysiący dziesiątki i setki nawet. Zdarza się niekiedy że w ognisku niema nic, że inicjatywa prywatna występuje bez franka, bez centima w kieszeni i zgromadza krocie. W sposób ten stanęło np. w Bazylei t. z. Bernouillanum, na które zebrało się franków tysięcy pięćset. Owa przeto subwencja, acz szczupła bardzo, wielce jest przecie owocną, jako zasiew, który plony wydaje i często donośne

Towarzystwo sztuk pięknych nie posiada galerji obrazów na własność. Wystawy przenośne urządza ono z płócien, które mu malarze nadsyłają i które ono, oszacowawszy pod względem wartości tak artystycznej jak i handlowej, sprzedaje amatorom i kupcom, stając w ten sposób jako pośrednik handlowy pomiędzy producentem-artystą a konsumentem-publicznością. Dla artystów wypływa stąd korzyść wielka, występująca pod postacią reklamy, osłoniętej powagą instytucji, posiadającej zaufanie publiczności. Garną się też gromadnie. Wystawa tegoroczna, która w chwili obecnej przebywa w Genewie, liczy numerów do tysiąca. Z genewy przeniesie się ona do Lauzanny, z Lauzanny do Vevey albo do Friburga, albo do Newszatelu i t. d. W roku jednym obsługuje Szwajcarję wschodnią, w drugim zachodnią, nawracając do miast pomniejszych, takich np. jak Aaran, Soloturn, Glaris, które inaczej nigdyby godów tego rodzaju w murach swoich oglądać nie mogły. Straty towarzystwo nie ponosi; bilety wstępne (po 20 centimów we czwartek i w niedzielę po 50 w dni inne) opłacają koszta transportu i urządzenia; artyści zyskują; ogół korzysta.

O ileż wskazówki powyższe przydatnemi być mogą panu A. Krywultowi? Jako wystawca, pan A. K. stanąćby mógł w obec ogółu naszego w tym samym charakterze, w jakim Towarzystwo szwajcarskie sztuk pięknych staje wobec ogółu szwajcarskiego. W razie takim miałby prawo domagać się ułatwień ze strony gmin miejskich, które miałyby obowiązek żądania jego uwzględniać, ale pod warunkiem, ażeby na wystawę dawał obrazy nie tylko z galerji własnej, lecz także i te, któreby mu artyści powierzali. Gdyby przytem wszedł w porozumienie z Towarzystwem sztuk pięknych w tym celu, ażeby takowe rekomendowało mu prace artystów, przedsięwzięcie jego, zyskując przez to na powadze i doniosłości, nie małe usługi oddaćby mogło tak artystom, jak ogółowi. Możeby się stąd wytworzyć dała powoli instytucja wystaw przenośnych, rozrosząca poczucie piękna w najdalsze kraju zakątki. Jest to, zdaje mi się, kwestja, która, gdyby się rozstrzygnąć dała należycie, byłoby to... pięknie. Ponieważ zaś piękno i dobro w bliskiem zostają pokrewieństwie, zatem, etc.

KRONIKA NAUKOWA

PRZEZ

B. ABAKANOWICZA.

(Nowa maszyna gadająca Fabera. Poszukiwania Caillatteta nad zgęszczaniem gazów.)

Fonograf, ktory się doczekał takiej sławy i rozgłosu, aż do ostatniej chwili nie został jeszcze tak udoskonalonym, żeby módz jakąkolwiek korzyść praktyczną z niego wyciągnąć. Jest on niezmiernie interesującym i pouczającym przyrządem, ale nic nadto więcej. Lecz brak praktycznej doniosłości, stokrotnie został wynagrodzonym wielką ilością rezultatów teoretycznej natury, które dla nauki ogromne mają znaczenie. Zrobiono, badając działanie fonografu, wiele odkryć, tyczących się mechanizmu mowy ludzkiej, powtarzania dźwięków pojedyńczych liter itp. rzeczy, mających z tą mową bliższy związek.

Jednocześnie poddano starannemu badaniu dawną maszynę mówiącą Fabera, która zupełnie w inny sposób dochodziła do odtwarzania słów. O tej machinie wspominaliśmy już niejednokrotnie w kronikach Tygodnia. Obecnie siostrzeniec tamtego Fabera zbudował nową machinę gadającą, znacznie ulepszoną, która jest pokazywana obecnie w Londynie i budzi tam powszechne zajęcie.

Działanie tej machiny polega na tem, że mechanizm naśladuje, o ile można najzupełniej, budowę krtani i ust ludzkich, tak że czynności organu ludzkiego głosu są zupełnie naśladowane; żeby zbudować taki przyrząd, trzeba było dokładnie poznać wszystkie funkcje krtani, jamy ustnej, strun głosowych, i dlatego też bliższe zbadanie Faberowskiej machiny jest niezmiernie interesującem dla fizjologa, dla fizyka i nawet dla filologa.

Główną częścią machiny są miechy, które pędzą do sztucznej z kauczuku zrobionej krtani powietrze. Z krtani tej, powietrze, przez sztuczną jamę ustną, zawierającą ruchomy język kauczukowy i wargi, wymyka się na zewnątrz, zupełnie jak to ma miejsce w naturze, gdy mówiąc, wydychamy powietrze z płuc naszych.

Pod krtanią znajduje się mniejsza zamknięta komora, wielkości cytryny, którą w danej chwili pociśnięciem klawisza można otworzyć, tak że powietrze przezeń do krtani idące, wychodzić może na zewnątrz. Komora ta reprezentuje nos ludzki i otwiera się ją wtedy, gdy trzeba wymówić dźwięki nosowe. Jeśli ten nos jest zamkniętym, i na klawiaturze Faberowskiej machiny naciśniemy klawisz, oznaczony literą *b*, to machina wymówi *b*, jeśli jednak nos był przytem otwarty, to zamiat *b*, otrzymamy *n*.

Najtrudniejszą do wykonania częścią składową machiny, była krtań sztuczna. Trzeba było w niej naśladować struny głosowe, które wydają tony podczas mówienia. Przez większe lub mniejsze napięcie tych strun można wywołać tony wyższe lub niższe, jednak nie można tego uczynić w czasie wymawiania słowa i dlatego też z machiny wychodzą dźwięki jednostajne, nieakcentowane, utrzymywane przez cały czas wymawiania słowa na jednej nucie.

Przed strunami głosowemi, wewnątrz sztucznej krtani, znajdują się ruchome małe zasłony, które spuszczają się za naciśnięciem klawisza z góry a podnoszą się z dołu, tak że zamykają ujście powietrza, zostawiając dlań tylko między sobą szparę, różnej w różnych wypadkach szerokości. Zasłony te twarde reprezentują zęby, i jak pierwej nos, nie tak jak w naturze, został umieszczony niżej ust, tak tu zęby umieszczono nie w jamie ustnej, lecz dalej w krtani. Przy pomocy tych zębów sztucznych, machina wymawiać może *s, sz, cz, c* itp.

Litera *r* wydobywa się przy pomocy małego młynka wietrznego, który bijąc skrzydłami swemi, przerywa prąd powietrza i tworzy tę spółgłoskę.

Literę *f* wydaje sztuczna warga, przy pomocy zasłon koło ust samych.

Samogłoski wytwarzają się przez odpowiedni układ jamy ustnej i otworu ustnego. Wszystkie te samogłoski wymawiane są zupełnie wyraźnie. Niedługo ta nowa machina Fabera obwożoną będzie po Europie i prawdopodobnie do nas także zawita.

* * *

Przed półtrzecia rokiem, jak to powszechnie wiadomo, udało się pp. Cailletet we Francji a Pictetowi w Szwajcarji, dowieść, iż wszystkie gazy uważane za stałe, dają się zamienić na płyny lub nawet na ciała stałe.

I tak tlen, azot, wodór, powietrze składające się, jak wiadomo, z tlenu i azotu, otrzymać można w kształcie płynów lub też ciał stałych; używano do tego wielkiego bardzo ciśnienia i odpowiednio niskiej temperatury.

Na jednem z ostatnich posiedzeń akademji paryskiej, p. Cailletet zdawał sprawę ze swych nowszych poszukiwań nad tym przedmiotem, które są interesujące pod wielu względami.

W rurce szklannej ściskał mieszaninę 5ciu części kwasu węglowego i jednej części powietrza. Kwas węglowy bardzo łatwo zamieniał się się w płyn, unoszący się nad rtęcią w rurce szklannej, której górną część zajmowało powietrze. Powierzchnia płynnego kwasu węglowego była wklęsła. Gdy się podnosiło ciśnienie do 200 atmosfer i wyżej, to powoli wklęsłość ta znikała, powierzchnia płynnego kwasu węglowego się wyrównywała, robiła się dla oka niewyraźną, aż nareszcie nie można było odróżnić granicy między powietrzem a kwasem, i cała wolna przestrzeń rurki napełnioną była jakby jednolitą masą.

Cailletet przypuszcza, że w tym wypadku kwas węglowy rozpuszcza się zupełnie w powietrzu, następuje tak zwana dyffuzja i tworzy się masa jednolita. Jednakże dokładnie faktu tego sprawdzić nie było można.

Inne przypuszczenie jest następujące. Być może, że współczynnik załamania powietrza przy ściskaniu, wzrasta szybciej, niż w kwasie węglowym i nareszcie dochodzi się do takiego stanu, że ten współczynnik jest dla obu ciał jednakowym. Wtedy, ponieważ oba ciała są jednakowo bezbarwne i w zupełnie ten sam sposób załamują promienie światła, więc nie można rozróżnić jedno od drugiego. Oba się zachowują tak samo dla naszego oka i nie widać wtedy żadnego rozgraniczenia.

Dalsze badania wskażą dopiero, które z tych objaśnień ma racją.

IMPROMPTU

PANA IGNACEGO.

. . . . . .

Kochali się od dziecka,
W lat wiośnie się kochali,
A potem ona za mąż
Wychodzi... i tam dalej...

To samo ja od wróbli
Na wszystkich dachach słyszę —
I każdy o tem pisał,
Kto tylko wiersze pisze.

Powiedzcie jednak, proszę,
Czy tu jest sensu trocha:
Dlatego pisać brednie,
Że panna was nie kocha?

Gdy kocha — jeszcze gorzej
I jeszcze większe brednie:
Niebiańska! boska! święta,
Ach, anioł! — w noc i we dnie...

Ot tak — na chybił, trafił,
Bez celu i powodu..
Pamiętam, jakąś »lubą«
Ja miałem sam za młodu —

Lecz u mnie, panie tego,
Bez próżnych ceregieli:
Chcesz? — Nie chcesz? — no i basta
I miłość djabli wzięli...

Bywało (już to miło
Przypomnieć sobie czasem) —
Dyszkantem śpiewa ona,
A ja wtóruję basem...

Lub na fortepianie
Przygrywa jakieś walce,
A ja sobie figlując,
To łapię ją za palce,

To w klawisz gdzie zabębnię,
Aż jęknie w instrumencie —
Wesołe było dziewczę,
A bystre nad pojęcie!

Jak zacznie opisywać
Kwiateczki, nocną ciszę...
Powiadam — niech się schowa
Kraszewski, co to pisze...

... Lecz co tam mówić o tem,
Już widzę śmiać się chcecie,
A jeszcze który gotów
Opisać gdzie w gazecie!...

Czesław.

NIEKONSEKWENCJA P. DROMMEL.

NOWELLA

przez

WIKTORA CHERBULIEZ.

(Ciąg dalszy).

IV.

Lepiejby może było dla pana Drommel, gdyby był, tak jak pierwotnie zamierzał, wyjechał nazajutrz, 1. października, do Lugdunu. — Ale... w księgach przeznaczenia zapisane było, że nie pojedzie — i nie pojechał.

Utrzymywano, że pierwszą przyczyną wszystkiego złego była pani Drommel, która przebudziwszy się rano uskarżała się, że ją noga boli, i tak opuchła, że niepodobna było ani myśleć o dalszej podróży.

Ci którzy tak utrzymują, dowodzą tylko że nieznają anielskiego charakteru tej zachwycającej istoty. Prawdą jest, rzeczywiście, iż gdy mąż wszedł rano do jej pokoju, napomknęła mu delikatnie o znużeniu jakiego doznaje po wczorajszej wycieczce, i że jeden dzień wypoczynku byłby dla niej wielce pożądanym; ale dodała zaraz, że gotowa jest jechać, jeśli on sobie tego życzy, że wykonywanie jego woli stanowi dla niej zawsze największą przyjemność że wreszcie zanadto dobrze ją zna, aby mógł o tem wątpić.

Na szczęście, pan Drommel postanowił dzień ten poświęcić na zwiedzeniu zamku i parku w Fontainebleau, w towarzystwie swego książęcego przyjaciela, który mu tę myśl poddał. Odpowiedział więc, że zdrowie swej koteczki ceni wyżej nad wszystko, i żeby go to nie wiedzieć co miało kosztować, opóźni wyjazd o całą dobę, aby tylko jej zrobić przyjemność. Pani Ada pięknie mu podziękowała, a udając że wierzy jego czułym zapewnieniom, wynagrodziła go zachwycającym uśmiechem. Sztuka udawania że się czemuś i komuś wierzy, jaką pani Drommel w wysokim posiadała stopniu, jest sztuką arcypożyteczną, oszczędzającą częstokroć w małżeństwach wiele przykrych sprzeczek, niesnasków i scen zgryźliwych.

Mówiono także, a nawet twierdzono na pewno, że gdy cokolwiek później, pan Drommel spotkał na schodach małego Lestoc, artysta wręcz mu powiedział, że wymaluje portret jego; tymczasem rzecz się miała zupełnie inaczej, a macie państwo w tem tylko próbkę, w jaki to sposób pisze się u nas historja.

Było to tak: pan Drommel, któremu się podobał młody człowiek, jego łatwe obejście się, miłe towarzystwo, a nadewszystko jego nieoszacowana naiwność, zapytał o jego nazwisko. Dowiedziawszy się, że siostrzeniec panny Doroty jest twórcą obrazku oszacowanego dwa tysiące franków, że jest na drodze do sławy i że z czasem utwory jego będą cenione na wagę złota, uczuł dlań niezmierny, niepohamowany szacunek. Wtenczas to, tuż wślad za szacunkiem, przyszła mu genjalna myśl do głowy, uzyskać od naiwnego młodzieńca, ot tak, za darmo, tytułem pamiątki, jaką akwarelkę, jaki rysunek od ręki a choćby jaki szkic tylko, i nabytek ten zawieść do Goerlitz, jako próbkę szkoły pejzażystów, co dałoby mu materjał do napisania wielce uczonej artystycznej rozprawy.

Pan Drommel posiadał zawsze wielki talent facjendarski: za jedno jajko umiał wytargować kurę, za jedną prenumeratę na „Światło" brał obraz albo książkę wielkiej wartości. Najczęściej jednak nie dawał nic w zamian. Spotkawszy się czy to z malarzem, czy muzykiem, czy archeologiem, umiał zawsze wydrwić od nich cośkolwiek, wszyscy obowiązani byli składać mu daninę, którą ściągał jako namacalny dowód swej wielkiej troskliwości o rozwój sztuk pięknych. Bezczelnym najlepiej wiedzie się na tym świecie.

Po głębokiej rozwadze, panu Drommelowi zdawało się najwłaściwszem użyć pośrednictwa żony do tej maleńkiej facjendy. Z tym więc zamiarem udał się bezzwłocznie do bluszczowej altanki, znajdującej się w głębi ogrodu, gdzie wiedział, że zastanie żonę, przed chwilą bowiem, szła właśnie w ową stronę, mocno utykając. Kiedy stanął na miejscu, ujrzał panią Drommel, w białem okryciu, na wpół leżącą, z nóżką opartą na poduszce.

Bez żadnych omówień, uprzedził ją, że dla uchronienia jej od nudów podczas jego nieobecności, pragnie przedstawić jej pewnego młodzieńca, bardzo oryginalnego, który ubawi ją swoją niezwykłą w tym wieku naiwnością.

— Czy przypominasz sobie — mówił — ten maleńki prześliczny obrazek, na wystawie tutejszej z podpisem Henryk Lestoc?

Pani Ada w żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć.

— Ach! jaką te kobiety mają krótką pamięć! — zawołał pogardliwie. — Wczoraj, przy obiedzie, poznałem się z nim bliżej.

— Jak-eś powiedział, jak się on nazywa? Złożył ręce w kułak i przykładając je do swych ust, krzyknął żonie prosto w ucho, jakby przez trąbkę:

— Henryk Lestoc! Wiesz już teraz, ty, pusta głowo?

— Jakbym go widziała przed sobą. Niezgrabiasz jakiś, z czarną rozczochraną grzywą, napuszony i nadęty swoją wielkością, jakby...

— Ot, tak — przerwał jej wesoło – trafiłaś jak kulą wpłot. Jest to maleńki blondynek, mający jeszcze mleko pod nosem, co jednak wcale nie przeszkadza, że głowę nie nosi od parady. Trzeba ci wiedzieć, moja kochana, że nie jestem mu obcy. Nie przysiągłbym że mnie czytał, ale musiał o mnie słyszeć.

—Wielka mi zasługa! Przecież to powinno być pierwszym jego obowiązkiem.

— No, czy chcesz, żebym ci go przedstawił?

— Ciekawam po co? co ja z nim będę robić?

— To już moja rzecz — odpowiedział pan Drommel.

— Zabawny jest sobie!— pomyślała.

— Mam pewien projekt — mówił dalej socjolog. — Ten ladaco posiada wielki talent; otóż chciałbym mieć coś jego pędzla, ale tak żeby mnie to nic nie kosztowało.

— I to ja ci mam w tem dopomódz?

— Rozumie się; w ciągu rozmowy poprosisz go, żeby pokazał ci swoją tekę; przy przeglądaniu jej niepodobna żeby nie zostawił ci czego na pamiątkę. Pięknej kobiecie, umiejącej się brać do rzeczy, niczego się nie odmawia... A w dodatku ubawisz się z nim. — Wyobraź sobie, mój kotku, że ten warjat uczynił ślub... jakby ci to powiedzieć?.. oto, poprzysiągł sobie, że nigdy w życiu nie przekroczy dziewiątego przykazania – i dotąd święcie tego dotrzymał! Ha, ha! ha! doprawdy, tylko Francuz może się na coś podobnego zdobyć! Oni wszyscy tacy: albo są lowelasami, albo będą skromni jak panienka wracająca od pierwszej komunji. Naszego malarza wychowała ciotka, stara panna, z zamarynowaną cnotą i brodata jak grenadjer. Ale też udał się jej doskonale — cokolwiek tylko jest dziki... Postaraj się go oswoić. No jakże? mam ci go przyprowadzić.

Pani Drommel długo się jeszcze kazała prosić; jednakże przemogło jej łagodne usposobienie i jak zwykle gotową była spełnić życzenie męża.

Pan Drommel poszedł szukać artysty. Lestoc wychodził właśnie ze swego pokoju, świeży, uśmiechnięty, z piosnką na ustach, z kapeluszem na bakier, wystrojony, wyelegantowany, obie ręce w kieszeniach aksamitnej bonżurki. a w dziurce od guzika bukiecik niezapominajek — dekoracja, jakby umyśnie do okoliczności zastosowana. Każdego poranku wstawał on tak, codzień świeższy i młodszy niż dnia poprzedniego; każdego poranku na sympatycznem obliczu jego spostrzegano gorączkową niecierpliwość towarzyszącą zwykle odjazdowi w daleką podróż — i rzeczywiście, codziennie puszczał się w drogę, wiodącą do sławy, albo też gonił za sennemi widziadłami upłynionej nocy. Czem były te marzenia i gdzieżby ich miał szukać, nie zawsze wiedział — ale dziś, gotów jestem zaręczyć doskonale umiałby je określić.

Pan Drommel, złapał go w przechodzie, uściskał, obsypał komplementami i poprowadził do ogrodu, prosząc aby pozwolił się przedstawić pani Drommel wielkiej amatorce malarstwa. Usłyszawszy tę propozycję, Lestoc skrzywił się, starał się wymknąć i uwolnić od niezasłużonego zaszczytu, tłumacząc się brakiem czasu i pilnemi gdzieindziej interesami. Ale niewiedział jeszcze z kim miał do czynienia: pan Drommel znalazł odpowiedź na wszystko; nie puścił swego jeńca, gwałtem przeprowadził go przez cały ogród i wepchnął do altanki, wołając z głośnym śmiechem:

— Przedstawiam ci, kochana Ado, młodego artystę, mającego wielką przyszłość przed sobą. Tymczasem wytłomaczy ci on zasady panny Doroty i tajemnice szkoły pejzażystów.

Pomimo szczerych usiłowań pana Drommel, pierwsze lody nie dały się przełamać. Lestoc był sztywny jak żołnierz na warcie, małomówny, poważny; pani Drommel, uprzejma, jak zawsze — bo inną być nie umiała — ale widać po niej było, że przekładała poprzednią samotność nad tę niespodziewaną wizytę.

Socjolog uważał za właściwe zostawić ich samych, aby się łatwiej mogli porozumieć. Wyszedł z altanki i wydobywszy z kieszeni swoją notatkę i ołówek, zaczął przechadzać się wzdłuż alei. Dziś rano, pijąc kawę, ułożył sobie w głowie zjadliwy akrostych, którego celem i przedmiotem był *asinus*. Takiego pomysłu nie znajdzie na ulicy, chociaż więc miał kolosalną pamięć, wolał, dla bezpieczeństwa, zanotować swoje zaimprowizowane arcydzieło. Tylko *scripta manient*, a w oczach, naszego socjologa dwie rzeczy jedynie zasługiwały na bezwzględną ufność: żona i notatka.

Spacerując tak i pisząc, nadstawiał od czasu do czasu ciekawie ucha, podsłuchując co się dzieje w altance; zdawało mu się, że zaczęto rozmawiać i że dyskusja była nawet dość ożywioną, Nagle, dał się słyszeć głośny wykrzyk artysty:

— Przyznaj pani otwarcie, że kapitalny głupiec z niego.

Pan Drommel odchylił gałązki bluszczu, przez utworzony w ten sposób otwór wsadził kwadratową swą głowę pomiędzy rozmawiających w altance i zapytał.

— Kto głupiec?

Lestoc przyskoczył i położył mu rękę na ustach.

— Ciszej panie! nie zdradzaj nas, bo ten głupiec tuż obok.

Pan Drommel rozglądnął się w około; w drugim końcu ogrodu, pomiędzy jarzynami, spostrzegł ekskomisarza policji.

– Świętą prawdę powiedziałeś pan – rzekł z głębokiem przekonaniem — a co gorsza, że to głupiec swarliwy i nieznośny. Dziwię się tylko, że moja żona nie zgodziła się od razu na pańskie zdanie

— Są rzeczy, widzisz pan, które się czuje dobrze a nie śmie się ich głośno wypowiadać.

Pan Drommel wrócił do alei, i prowadził dalej swoje notatki, dopóki nie dano mu znać, że książe Malaserra czeka na niego.

To go spowodowało, że podszedł znowu pod altankę, z zamiarem proszenia żony aby przewiązała mu krawat, należało bowiem godnie się przedstawić w towarzystwie dostojnego przyjaciela.

Mały Lestoc przemawiał właśnie słodziutkim głosem ale bardzo stanowczo:

-- Ze mną targu nie ma zawsze oznaczam stałą cenę. Wyjątkowo, dla pani gotów jestem ustąpić pewien rabat. Żądałem cztery, poprzestanę na trzech, ale gotowizną. To moje ostatnie słowo.

Powiedziawszy to, wybiegł z altanki i wpadł na pana Drommel o mało go nie przewróciwszy. Porwał go za rękę i zawołał:

-- Muszę koniecznie dostać trzy, kochany panie; wytłomacz pan żonie, że nie powinna się opierać.

I oddalił się, dając jeszcze znaki ręką, że to jego ostatnie słowo.

— Co to ma znaczyć? zapytał żony pan Drommel. — Czego on żądał tak stanowczo od ciebie?

Pani Ada nie odpowiedziała wprost na pytanie. Zapomniawszy, że ją noga boli, podbiegła do męża i zaczęła mu bardzo starannie zawiązywać krawat.

— Wcale się na nim nie poznałeś — rzekła po chwili. — Że jest dziwakiem, zgoda na to; ale co do jego niewinności, to pozwolę sobie powątpiewać.

— Co słyszę! miałżeby przypadkiem ten naiwny uczeń panny Doroty?...

— On, naiwny! rabuś raczej! Wyobraź sobie, że... śmiał zażądać... trzy tysiące franków za nędzną akwarellę!... I taki dziwny jakiś właściwy sobie ma sposób żądania, że,... że... a przytem nie chce inaczej, jak tylko gotówką.

Socjolog nie zwrócił uwagi na widoczne pomieszanie żony; jego tylko niemile dotknęła stracona nadzieja otrzymania darmo ładnego obrazka.

— Warjat on jest, ze swojemi śmiesznemi wymaganiami — rzekł oburzony. — Myślałem, że będzie lepiej wychowany, że pozna się na grzeczności. Ale nic z tego! Złamanego feniga odemnie nie dostanie! Postaraj się moja Ado, ubrać go, jak to wy, kobiety, umiecie. Nie powinno ci to przyjść z trudnością.

— Uczynię wszystko, co będzie w mej mocy — odpowiedziała.

Potem cofnąwszy się parę kroków, przyjrzała się bacznie mężowi i złożyła mu głęboki ukłon, jeden z tych ukłonów, jakiemi niegdyś dziękowała publiczności berlińskiej za oklaski, od których, zdawało się, że sala się zawali.

— Jak widzę, noga cię już nie boli — rzekł socjolog.

— Ból ustał, jakby go kto ręką odjął.

Znowu popatrzyła na męża, znalazła go nieoszacowanym i zaczęła się nagle śmiać jak szalona.

— A to co znowu, co ci się stało?

Odpowiedziała z niezwykłą sobie żywością:

- Niebo takie błękitne, na okół kwitną róże, a mnie się zdaje, że mam lat szesnaście.

— Na jeden bok — zauważył pan Drommel.

Pani Ada urodziła się 26. lipca 1851 — uwaga więc była prawie słuszną.

W Chailly odbywało się w tej chwili wesele, czy też chrzciny, a wiatr aż do Barbison przyniósł odgłos dzwonów kościelnych.

— Na honor tancerki! — zawołała — te dzwony zwiastują nam jakąś wesołą wiadomość. Cała okolica w świątecznem jest dzisiaj usposobieniu.

— Muszę się dowiedzieć, czy nie ma w tej okolicy zakładu obłąkanych, a jak z Włoch powrócę, wstąpię do niego, żeby ciebie odwiedzić.

Niedelikatna jakaś osa bujała po nad czołem filozofa; pani Drommel odpędziła ją swoim wachlarzem. Potem przyjrzała się temu szerokiemu czołu, i zdawało się jej, że coś na niem jest wypisane. Jak wszystkie żony uczonych mężów, czuła i pani Ada wielki respekt dla napisów, zwyczajnych, klinowych czy też hieroglificznych. W obecnym przecież wypadku, nie chciała mieć sobie nic do wyrzucenia.

— Wiesz co? — zagadnęła. — Zazdroszczę temu księciu, który mi cię na cały dzień zabiera. Założyłabym się nie wiem o co, że gdybym powiedziała, że mam wielką ochotę zobaczyć Fontainebleau i gdybym cię poprosiła, żebyś mnie z sobą zabrał...

— Lepiej się nie zakładaj, koteczko, bo przegrasz. W pewnych wypadkach obecność kobiety tylko psuje zabawę.

— Stanowczo więc nie chcesz mnie zabrać z sobą?

— Stanowczo, a czego ten chce — dodał uderzając się w piersi — ta — zwrócił wskazujący palec ku żonie — ta wykonać musi bez szemrania.

Wziął jej rękę i, tak samo jak w lesie, dotknął niedbale ustami różowych jej paluszków, ozdobionych prześlicznemi pazurkami, które przez całe swe życie nie zadrapały nikogo. Spieszył się, bo książętom nie wypada kazać czekać na siebie. Żona odprowadziła go do połowy ogrodu, zalecając mu, aby unikał przeciągów, strzegł się przemoczenia, żeby nie zapomniał w Fontainebleau swego szala, żeby się nim dobrze owinął za powrotem, i jednem słowem aby z największą troskliwością czuwał nad drogocennem swem zdrowiem. A gdy się oddalił, pomyślała jeszcze:

— Napis na czole widocznie prawdę przepowiedział!

Głos dzwonów dolatywał ciągle. Ada oparła się o najbliższe drzewo i na wpół przymknęła oczy. Zdawało się jej, że jakiś zuchwalec obejmuje jej kibić, że czyjeś usta zbyt śmiało oddech jej zapierają, a młody i drżący głos szepcze jej do ucha:

— Ubóstwiam cię! ale muszę mieć trzy!

Byłże to sen czy wspomnienie?

Zbudził ją mąż niespodzianie, wracający po to tylko, aby powiedzieć:

— Przyszła mi doskonała myśl do głowy: przyobiecaj mu jeden abonament na „Światło".

— Jestem w wielkiej obawie — odrzekła — że to nie wystarczy dla niego,

I znowu zaczęła przypominać mu o wystrzeganiu się przeciągów, wilgoci, zaziębienia.

— A to utrapienie prawdziwe z temi kobietami! — zawołał filozof, oburzony, że jego genjalna myśl nie została z należytem uznaniem przyjętą. Z wami to tylko litanje trzepać, a nie mówić o interesach!

Będąc już w powrocie, zwrócił się jeszcze rozgniewany do księcia Malassera:

— Znajduję się obecnie w stanie łaski — opatrzyła mnie żona na drogę jak pielgrzyma wędrującego do Rzymu!

I z pewnem szyderstwem zaczął się rozwodzić nad czułą i przesadną troskliwością, jaką otacza go żona; dodał przytem, że nigdy w życiu nie chorował, ani też nigdy nic nie zgubił, nawet parasola.

— O, mój przyjacielu najdroższy! — odpowiedział na to książe — jakże ci zazdroszczę twego kwitnącego zdrowia, niezachwianej pomyślności i, jeżeli mi wolno wyznać otwarcie — twojej czarującej żony. Niestety! księżna Malaserra... Ja bardzo nieszczęśliwy, drogi przyjacielu, bo moja żona uciekła z jakimś nędznym awanturnikiem. Oh! gdybym ich złapał! Rozpacz jest krwiożercza, a kobiety są nieodgadnione. Żeby kogo innego nademnie przełożyć! Wszyscy jednakże utrzymują, że jestem pięknym mężczyzną, jedna tylko moja żona innego była zdania, skoro uciekła z obrzydliwym płaskonosym! — Widzisz pan, że nie mam dla ciebie żadnych tajemnic — ale to już taka moja natura, lubię się wywnętrzać przed przyjaciołmi. O tak, mój przyjacielu, z tego to powodu wojażuję ciągle, od owego bowiem strasznego zdarzenia, Malaserra mniej mi się już podoba, a sam się pan przekonasz, jakie to piękne jest, moje Malaserra!

Przy tych słowach książe podniósł chustkę do oczu, a i pan Drommel uważał za stosowne uronić kilka łez nad godną pożałowania lekkomyślnością księżnej Malassera.

— Powiedz mi szczerą prawdę, kochany przyjacielu — mówił książe po chwili — czy nigdy nie byłeś zazdrosnym, bo ja wściekle zazdrosny byłem o księżnę Malassera.

Pan Drommel parsknął śmiechem, tak mu się dziwacznem wydało to pytanie.

— Moja żona — odpowiedział — pochodzi z kraju, w którym kobiety umieją kochać, posiadają bowiem *Gemüth.*

— *Gemüth!* Co to takiego?

— Niepodobna tego wytłumaczyć ani po francusku ani po włosku. Niechaj księciu wystarczy takie określenie, że kobieta mająca *Gemüth,* raz w życiu tylko kocha i nigdy z *drugim* nie ucieknie.

— Choćby ten drugi nie był płaskonosym?

— *Gemüth* właśnie sprawia — odparł uroczyście filozof, że kobieta, pogardza owemi bagatelkami, które dla kobiet tutejszych, dla Francuzek, stanowią wszystko!

Wpadłszy tak niespodzianie na ulubiony swój przedmiot, pan Drommel zaczął robić wyrzuty księciu za zbyt tragiczne przejęcie się swym wypadkiem; przedstawiał mu, że prawdziwy filozof na wszystko jest obojętny, niczemu się nie dziwi i nigdy nie bywa zazdrosny; że bądź co bądź kobieta jest tylko piękną zabawką, jeśli nie staje się wielką w życiu zawadą, *maximum impedimentum,* a nadewszystko że prawo skłonności doborowych, jakkolwiek bywa niekiedy fatalnem, jest świętą zasadą, z którą zgadzać się należy, nie psując sobie niepotrzebnie humoru. W końcu wreszcie wywiódł wniosek zachęcający księcia do poświęcenia się na serjo socjologji, jako nieoszacowanej nauce zalecającej nam pogardę wszystkich drobnych wydarzeń, jakie w codziennem życiu, zwykły trapić pospolitych profanów.

Tak rozprawiając dojechali do Fontainebleau, gdzie zjedli wykwintne śniadanie, zakrapiane najlepszemi winami. Następnie zwiedzili zamek, który, prawdę mówiąc, panu Drommelowi nie podobał się; jego zdaniem, przechwalono tak samo zamek jak i las; ani owalny dziedziniec ani brama złocona ani sala Rady nie wywarły nań wrażenia. Nawet przecudnej galerji Henryka II. miał wiele do zarzucenia; nie wiele brakowało do twierdzenia, że w Goerlitz piękniejsze rzeczy można zobaczyć. Przechodząc jednakże przez dziedziniec z wodotryskiem, przypatrywał się z umiarkowaną dozą przyjemności, ewolucjom słynnych karpi; w dowód czego raczył kupić z wielkim targiem jedno stare ciastko, i z uśmiechem królewskiej hojności, rzucił je na pastwę rybom; czy żarłoczne te stworzenia zrozumiały jaki je zaszczyt spotkał? czy umiały ocenić dar z tak znakomitej pochodzący ręki?

Za powrotem, rozmowa przeszła na gimnastykę niemiecką. Pan Drommel usiłował przekonać księcia Malaserra, że dzięki systemowi wychowania, którego inne narody tylko zazdrościć mogą, nie będąc w stanie mu dorównać, Niemcy są nietylko jedynym krajem, w którym kobiety mają *Gemüth,* ale jedynym także posiadającym mężczyzn z muskułami. Na dowód czego odwinął mankiety i pokazał olbrzymie żylaste ręce księciu, który niestety nie mógł pójść z jego przykładem, gdyż tak był chudy, iż nie miał nic do pokazania.

W tej chwili mniej więcej, znakomici podróżnicy nasi, zostawili powóz na gościńcu i puścili się ścieżką w labirynt odłamów skalistych, gdzie już sam pan Malaserra ofiarował się na przewodnika swemu drogiemu przyjacielowi.

Przybywszy w dzikie i osmotnione to ustronie, pan Drommel zapragnął, aby książe własnemi oczyma mógł się przekonać o cudownych rezultatach niemieckiej gimnastyki — i w tym celu to podnosił olbrzymie kamienie, to znów trzymał przez chwilę w wyprężonej ręce wielkie skaliste odłamy. Zdumiony książe doradzał mu, aby przy tych ćwiczeniach zdjął z siebie zwierzchnie okrycie i odłożył na bok różne mogące mu zawadzać drobiazgi; ale pan Drommel zapewnił, że jemu nic przeszkadzać nie zdoła, i ze zwykłym sobie uporem, nie dał się namówić.

Książe zapytał go następnie, czy również jest zwinnym jak silnym i zaproponował mu wdrapanie się na szczyt dość wysokiej a nader spadzistej skały. Pan Drommel przyjął to wyzwanie i wyszedł z niego zwycięzko, jakkolwiek prawie bez tchu i cały potem oblany. W dodatku zrobił jeszcze kilka prawdziwie niebezpiecznych *salto mortale,* aż zamyślony głęboko książe przerwał te popisy, mówiąc:

— Dosyć już tego, dosyć. Drżę o ciebie, kochany przyjacielu. Gdyby przypadkiem zdarzyło ci się jakie nieszczęście, któregobym nigdy w życiu nie mógł odżałować, z jakiemże czołem stanąłbym przed twoją żoną, która cię ubóstwia?

Powrócili do powozu. Książe odtąd był już mniej rozmownym, a raczej zamilkł zupełnie, zdawał się być roztargnionym, zakłopotanym i melancholijnym. Pan Drommel tłumaczył to sobie przykrem wzbudzeniem wspomnień o księżnie Malaserra. Ja bym sądził raczej, że to popis niemieckiej gimnastyki i niezrównana zręczność drogiego przyjaciela, wprowadziły w zadumę księcia, zazdroszczącego mu i siły i zwinności; najpiękniejsze nawet charaktery nie są wolne od wpływu zazdrości.

Pan Drommel zachwycony był dniem dzisiejszym, a nadewszystko uszczęśliwiony spędzeniem kilku godzin w serdecznej poufałości z człowiekiem wyższej sfery, który zaszczycał go swoją przyjaźnią, i z którym rozmowa zarówno była pouczającą, jak uprzejmem obejście się jego. Co jeszcze w oczach socjologa dodawało wielkiego uroku całej wycieczce, że ku niewymownemu zadowoleniu jego, wszystkie koszta ponosił książe Malaserra, płacąc za powóz, śniadanie, wynagrodzenie usługi i t. d. z wy-

*

jątkiem tylko starego ciastka, którem uraczone zostały karpie.

Inna jeszcze niespodzianka oczekiwała go z powrotem do Barbison. Pani Drommel, nie bez trudu wprawdzie, zdało się przekonać małego Lestoc. Stała się właścicielką akwarelli, odmalowanej w ciągu popołudnia, z prawdziwie francuską szybkością, i ofiarowanej tytułem pamiątki bezpłatnie, a przynajmniej za bardzo drobne wynagrodzenie.

Prześliczna ta akwarella przedstawiała kawałek drogi leśnej. Z jednej strony wznosił się olbrzymi buk, zupełnie ogołocony z liści; na lewo wiła się ścieżka wśród świerkowego lasu; na jednym załamku tej ścieżki, znajdowała się, odwrócona plecami, para zakochanych, widocznie w maleńkiej będących sprzeczce. On, klęczący, z rękami wzniesionemi w górę, prosił o przebaczenie, czy też żebrał o jakąś łaskę. Ona, w sukni koloru słomkowego, z jasno blond główką nieco pochyloną nad młodzieńcem, groziła mu gałązką paproci. Upuszczona jej parasolka, leżała o kilka kroków niżej, ozłocona jednym promykiem słońca, przedzierającym się ukradkowo przez drzew gęstwinę.

Pan Drommel zrobił zarzut, że treść obrazu jest zbyt błahą; nie podobało mu się również, że malarz wywinął się z największej trudności, przedstawiając działające osoby z tyłu. Z natury był ciekawym, lubił dokładność we wszystkiem, radby był też zobaczyć oblicza dwojga kochanków. Jednakże dubeltowa plama na obrazku, utworzona przez kobietę i jedwabną ponsową parasolkę, przypadła mu do gustu i przez intuicję, zwykłą geniuszom, natchnęła go w tejże chwili treścią do artykułu o szkole pejzażystów.

Drobiazgowy we wszystkiem aż do przesady, zwrócił jeszcze uwagę żony, że na akwarelli brak podpisu. Na to, pani Ada wskazała mu paluszkiem jeden odłam skały, na którym, jako na niemym świadku sprzeczki pomiędzy dwojgiem kochanków, wypisano drobniutkiem pismem: »*Pamiątka 1. października 1879.*«, a cokolwiek niżej wyraz «*Sempre*», co znaczy po włosku „Zawsze“, a przytem objaśniła go, że *Sempre* jest artystycznem godłem Henryka Lestoc.

— Nigdy i zawsze! — zawołał pan Drommel — zdaje się, że te dwa słowa są słabą stroną tego młokosa, a trzeba przypuszczać, że panna Dorota musiała ich często używać. Ale proszę cię, jakże się między wami skończyło? Czy dał się ugłaskać? ileż żąda za te dwie plamy?

— Miałeś dobrą myśl — odpowiedziała — zadowolnił się jednym stałym abonamentem na „Światło“, co tem większą jest z jego strony zasługą, że po niemiecku nie rozumie.

— Ha, w takim razie niech się uczy. To i dobrze się stało; ale porto pocztowe, rozumie się, on będzie opłacał.

Pocałował żonę i zakończył, ciągnąc ją delikatnie za uszko:

— Dzień dzisiejszy musiał ci się długim wydać? Cóż robić, mój kotku, ale pociesz się; nie ma nic ciekawego w tym ich Fontainebleau. (C. d. n.)

GRACJA

studium

HERBERTA SPENCER'A.

Podług pewnej teorji, piękno jest ogólną nazwą pewnych przymiotów rzeczy, które zwykle wywołują w nas uczucie zadowolenia; takim więc sposobem nasze pojęcie piękna wynika z połączenia przyjemnych wrażeń, jakich doznaliśmy; teorja ta, na którą zgadzam się zupełnie, potrzebuje rozwinięcia. O ile mi wiadomo, nie była ona zastosowaną do przymiotu, który zowiemy gracją, mającego ważne znaczenie w formie i ruchu.

Widocznem jest, że przymiot, któremu tę nazwę dajemy, może należeć jedynie do tych przedmiotów, w których widzimy pewną doskonałość. Nie przypisujemy tego przymiotu koniom roboczym, żółwiom i hipopotamom, u których zdolność poruszania się nie jest dostatecznie rozwiniętą; ale spostrzegamy go u chartów, dzikich kóz, u koni wyścigowych, organa ruchu których jak najlepiej funkcjonują. A więc czemże jest owa szczególniejsza właściwość przejawiająca się w budowie i czynnościach danej istoty, właściwość zwana przez nas gracją?

Pewnego wieczoru, przypatrując się ruchom tanecznicy, ganiłem w duchu jej tours de force, jako barbarzyńskie wyłamywanie kości, które należałoby wyświstać, gdyby nie było ludzi bezmyślnie przyklaskujących temu, co się im wydaje modnem; wtedy to zauważyłem, że gdy tancerce, udawało się przypadkiem poruszyć z prawdziwą gracją, to był to ruch, wymagający stosunkowo nie wiele wysiłku. Przypominając sobie rozmaite fakty, potwierdzające tę myśl, przyszedłem wtedy do wniosku, że z różnych przemian położenia i ruchu, najwięcej gracji zdaje się mieć taka przemiana, która się wykonywa z najmniejszą stratą siły. Innemi słowy gracja, a przynajmniej gracja w ruchach, jest to ruch, który się wykonywa oszczędzając siłę muskułów; gracja w kształtach żyjących oznacza kształty zdolne do takiej oszczędności; gracja w układzie postawy oznacza taką postawę, która może być utrzymana, oszczędzając tę siłę; gracja zaś w przedmiotach nieżywotnych, przejawia się w każdej rzeczy przypominającej przez analogję te położenia i kształty.

Chociaż to uogólnienie nie jest zupełnie prawdziwem, zawiera przynajmniej znaczną część prawdy; łatwo to zauważyć, zdaje mi się, zastanawiając się nad tem, do jakiego stopnia przywykliśmy łączyć te dwa wyrazy: łatwy i zgrabny: przypomnijmy sobie niektóre fakty, od jakich zależy to przyzwyczajenie. Sztywna postawa żołnierza, prostującego się na komendę: „Baczność!“ mniej ma gracji, niż to swobodne położenie, jakie przybiera on na komendę: „wolno“.

Niezręczny gość, co z wymuszoną miną siada na końcu krzesła i panujący nad sobą gospodarz domu, którego członki i ciało przybierają zupełnie wygodną pozę, tworzą jednakowy kontrast jak co do wysiłku, tak i co do elegancji. W postawie stojącej, chcąc oszczędzić siłę, opieramy zwykle ciężar naszego ciała głównie na jednej nodze, i dla tego prostujemy ją niby kolumnę; drugą nogę tymczasem stawiamy swobodnie; przytem głowę pochylamy nieco na prawo, lub na lewo. Obie te pozy, jako symbol gracji, bywają naśladowane w rzeźbie.

Od postawy ciała przejdźmy do ruchów: spostrzeżenia nasze codzienne wykazują i tutaj takiż sam związek. Nikt nie nazwie zgrabnym chód nieregularny i skaczący, który kosztuje wiele nieużytecznej pracy. Nikt nie znajduje piękna w przewalającym się chodzie człowieka otyłego, lub w drżących krokach inwalida: w obu wypadkach widocznym jest wysiłek. Ale z przyjemnością przypatrujemy się chodowi szybkiemu w miarę i zupełnie rytmicznemu; nie towarzyszy mu gwałtowne wymachiwanie rękami; nie wygląda ani jak praca, ani jak staranny wysiłek, a zarazem czujemy, że siły nie zmarnowano tu wcale. Główna trudność tańca, t. j. dobre ułożenie rąk, wyjaśnia także tę samą prawdę. Ci, którzy tej trudności nie pokonali, wywierają na widzów takie wrażenie, jak gdyby im ręce zawadzały; widocznie się męczą, trzymając je sztywnie, w jakiemś niezdecydowanem położeniu; nie pozwalają swym rękom kołysać się w kierunku, jakiby same przez się przybrały; to też grożą im one utratą równowagi, zamiast przyczyniać się do jej zachowania. Lecz, jak widzimy, dobremu tancerzowi ręce bynajmniej nie przeszkadzają; przeciwnie są mu prawdziwie pożyteczne. Każde ich poruszenie, będąc następstwem poprzedzającego ruchu ciała, ma jakiś cel określony. Czujemy, iż każde takie poruszenie ułatwia ruch ogólny, zamiast mu przeszkadzać; innczej mówiąc: praca jest zaoszczędzoną. Kto chce lepiej zrozumieć ten fakt, niech obserwuje ruch rąk podczas prędkiego chodu. Niech trzyma ręce nieruchomo u boków i spróbuje iść trochę prędzej w takiej postawie. Z konieczności będzie poruszał ramionami naprzód i wtył i wykręcał się w najniezgrabniejszy sposób. Gdy ujdzie pewną przestrzeń, spostrzega niebawem, że taki sposób jest nietylko niezgrabnym, lecz i męczącym; wtedy puszcza ręce wolno, jak zwykle. Wykręcanie ramionami ustaje; ciało zaczyna poruszać się równo naprzód; porównywając swe teraźniejsze wrażenia z poprzedniemi, czuje, że mu teraz daleko lżej. Analizując ten fakt, zauważa, iż poruszenie każdej ręki wstecz, odbywa się jednocześnie z poruszeniem odpowiedniej nogi naprzód; zwracając uwagę na swe wrażenia muskularne, spostrzega (co, jeżeli jest matematykiem, uznaje jako stosunek prawa równoznaczności i przeciwległości między działaniem i oddziaływaniem): że to wahanie się ręki jest przeciwwagą dla ruchu nogi, i że łatwiej jest wywołać tę przeciwwagę przez ruch ręki, niż przez wykrzywienie korpusu, jakie w przeciwnym razie byłoby nieuniknionem.

Tak pojmując poruszanie się rąk w czasie chodu, łatwo zrozumiemy, że zgrabne użycie ich w tańcu jest po prostu skomplikowaniem tego samego faktu, i że dobry tancerz ma tak delikatne czucie mięśniowe, iż natychmiast uczuwa, w jakim kierunku trzeba ruszyć rękami, aby nadać przeciwwagę jakiemukolwiek poruszeniu korpusu lub nóg.

Związek między gracją i oszczędzaniem siły będzie nadzwyczaj łatwo zrozumiałym dla łyżwiarzy. Przypomną oni sobie, że pierwsze próby, a szczególniej pierwsze lękliwe usiłowania ułożenia figury przy ślizganiu się, są również niezgrabne, jak męczące, i że zgrabności nabywa się jednocześnie z nabyciem wprawy. Po nabyciu dstatecznej pewności siebie, gdy się umie kierować nogami, wówczas staje się zbytecznem przygarbienie korpusu i nienaturalne ruchy, które były pierwej potrzebnemi dla podtrzymania równowagi; ciało staje się zdolnem iść w kierunku nadanego mu ruchu, ręce wahają się, jak się im podoba; czujemy wyraźnie, że zgrabny sposób wykonywania jakiegokolwiek obrotu jest ten, co wymaga jak najmniejszego wysiłku. Widz zawsze

może spostrzedz ten fakt, jeżeli zwróci na to uwagę. Może w żadnym innym wypadku nie można lepiej zauważyć, iż ruchy nazywane zgrabnemi są te, które osiągają pewien cel w połączeniu z najmniejszą stratą siły.

Przykład ten, wzięty z łyżwiarstwa pozwala przypuszczać, że zgrabny ruch może być określonym, jako ruch po liniach krzywych. Rozumie się, że ruchy w kierunku prostym i ruchy po linji łamanej stanowią w tem wyjątek. Nagłe przestanki i nieprawidłowości, które się wyrażają ruchami ostremi, są przeciwieństwem zgrabnego ruchu, ponieważ głównym pierwiastkiem gracji jest ciągłość, gładkość ruchu. Jednak okazuje się, że to tylko inne zapatrywanie na tę samą prawdę; i że ruch po linji krzywej jest pewną ekonomją ruchu. Przypuśćmy, że jakiś członek powinien przybierać kolejno rozmaite pozycje; przypuśćmy, że porusza się po linji prostej, aż dopóki nie zajmie pierwszej z tych pozycyj; następnie wstrzymajmy go raptownie, a potem znowu wprawmy w ruch w innym kierunku, także prostym, dopóki nie zajmie innej pozycji, i tak dalej; widocznie, że przy każdym przestanku szybkość nadana uprzednio członkowi będzie powstrzymaną tylko przez pewien wydatek siły, a może mu być nadaną ponowna szybkość kosztem nowego wysiłku. Przeciwnie, jeżeli członek nie będzie wstrzymanym w pierwszem położeniu, to ruch będzie trwał dalej a poboczna siła będzie go zbliżała do drugiej pozycji, i pewna ilość siły będzie zaoszczędzoną przez korzystne użycie pierwotnej szybkości.

Jeżeli przyznamy słuszność tym wnioskom, dotyczącym gracji ruchu, to według mego zdania nie ma wątpliwości, że taki kształt, który sprawia wrażenie iż stoi i porusza się z małym wysiłkiem, jest kształtem pełnym gracji. Inaczej byłoby dziwnem, gdyby gracja formy nie miała nic wspólnego z gracją ruchu; lub sądzono by mylnie, że pierwsza istnieje zwykle bez drugiej; a ponieważ obie te hipotezy nie zgadzałyby się z naszem doświadczeniem, to dochodzimy do wyniku, że związek, o którym mówiliśmy, rzeczywiście istnieje. Gdyby kto powątpiewał o tem, to prawdopodobnie upewni się, przypominając sobie, że nazywamy zgrabnemi te pięknie zbudowane zwierzęta, których ciężar własnego ciała nie obciąża zbytecznie: odznaczają się one żywością i zręcznością i odwrotnie, niezgrabnemi wydają się takie, którym cięży ich masywność, a przez to nie są dość zdolne do biegu. Przypatrzmy się chartowi: głównie widać w nim tę odmianę typu psa, gdzie bardzo wyraźnie występuje umiarkowana korpulencja, a łatwość ruchu muskularnego doprowadzoną jest, wskutek przyzwyczajenia, do stopnia doskonałości; a taki typ właśnie uważamy za typ posiadający największej gracji.

Ale jakimże sposobem drzewa i przedmioty nieżywotne mogą zasługiwać na ten epitet? Odpowiedź na to pytanie wydaje się mniej łatwą. Konar dębu sztywnie wyprostowany, wystający z pnia pod prostym kątem, naprowadza nas nieznacznie na myśl o potrzebie znacznej siły dla utrzymywania go w tej pozycji; zowiemy to niezgrabnem z tej samej przyczyny, dla czego uważamy za niezgrabną postawę człowieka, trzymającego ręce wyciągnięte pod prostym kątem korpusu. Przeciwnie, łatwo ruchliwe gałęzie wierzby płaczącej, smutnie opuszczone ku ziemi, przypominają nam niewyraźnie takie ciało, którego członki znajdują się w pozie swobodnej, wymagającej małego wysiłku dla jej zachowania; to też wyraz gracja, służący do określenia owego stanu ciała, zastosowujemy przez metaforę i do wierzby płaczącej.

Również ośmielam się wypowiedzieć tu w kilku wierszach pewną hipotezę: a mianowicie, że podmiotowe pojęcie gracji bierze początek we współczuciu (sympatji) Ta sama właściwość przez którą drżymy na widok niebezpieczeństwa innych, która czasami wstrząsa nasze członki na widok człowieka walczącego lub padającego, sprawia, iż odczuwamy, w sposób niejasny, wszystkie sensacje mięśniowe, jakich doznają otaczający nas ludzie. Gdy poruszenia ich są gwałtowne, lub niezręczne, natenczas i my doznajemy nieco tych niemiłych sensacyj, których musielibyśmy doświadczyć, gdyby to były nasze własne ruchy. Lecz kiedy ruchy ludzi, na których patrzymy, są swobodne, w tedy i my podzielamy przez sympatję te przyjemne uczucia, jakich doznają ci, którzy te ruchy wykonywają.

M. W.

Kronika Tygodniowa.

(Kronikarskie wiadomości. Sprawozdanie komisji konkursowej im. Fredry. Wystawa sztuk pięknych. Teatr. Jubileusz Kochanowskiego.)

Jeżeli jaka niespokojna i rozczochrana dusza, znudzona przerażającym spokojem, jaki od pewnego czasu we Lwowie zapanował, zaczęła pragnąć „czegoś“ nadzwyczajnego, trzęsienia ziemi na Marjackim placu, lub nowego wulkanu na Grodeckiem, to się mocno zawiodła, bo wszystko idzie dalej dawnym, nudnym, bezbarwnym torem. Jeżeli się coś trzęsie, to nie ziemia, lecz spokojni mieszkańcy miasta od listopadowego prawdziwie zimna, a jeśli coś wybucha, to nie wulkan lawą i ogniem ziejący, lecz masy błota zimnego i lepkiego na ulicach i tam, gdzie tego by spotykać nie należało, w publicystyce pokątnej i broszurach politycznych. Żeby zresztą w naturze był spokój zupełny, tego powiedzieć nie można, bo śnieg mieliśmy dość obfity i „deszcz siarczysty“ żółtej barwy, która mieszając się z czarnym kolorem błota, przedstawiała widok, jakkolwiek wielce urzędowy, ale melancholią sprowadzający.

W Krakowie natomiast znowu ruch wielki. Stary gród ożywia się od czasu do czasu wielkiemi uroczystościami, ściągającemi gości ze wszystkich stron świata. Jubileusz Długosza wypadł, świetnie pod każdym względem i Krakowowi oddać słuszność należy, że w takich chwilach zawsze z należytym splendorem i powagą wystąpić potrafi. Na tle starych murów, odwiecznych pamiątek, zabytków dawnej sławy, zawsze przepysznie odbijają takie zebrania uroczyste, i kto chce zagrzać sobie trochę wyziębłe serce, niech się tam uda w podobnej chwili.

* * *

Konkurs dramatyczny lwowski imienia Fredry został raz nareszcie załatwiony.

„Zabiegi“ Sewera otrzymały drugą nagrodę. Komisja artystyczna druga, która ostateczny sąd wydaje, nie uznała za stosowne przyznać im pierwszej.

Oto wyjątek ze sprawozdania:

Komedja: „Zabiegi“ grzeszy i wyborem charakterów i przesadą w ich malowaniu.

Wszystkie główniejsze postacie, w komedji tej ze społeczeństwa naszego na scenę wprowadzone, malowane czarno; jedna tylko nieco jaśniejsza, ale jeno w porównaniu z resztą: mniej nieuczciwa między nieuczciwemi. Figury podrzędne także ciemne; do jaśniejszych należy tylko postać młodziutkiej panienki; ale i ta sama narzuca się z miłością kawalerowi. Z prawdą schwycona tylko postać żyda, jedyny typ w komedji. Reszta, to kolekcja osobliwości, ludzi lichych, poruszanych pobudkami poziomemi i nieszlachetnemi; ludzi i u nas możliwych, ale, na szczęście społeczeństwa naszego, jeszcze tylko wyjątkowych, których umyślnie wyszukiwaćby trzeba. Bohater główny, któremu autor dał rolę polityczną, dorobkiewicz przebiegły w sprawach materjalnych życia codziennego, zbyt ograniczony do odegrania roli politycznej; sam do niej nawet aspiracji nie ma, i dopiero znęcony perspektywą wielkiego zysku, którym mu mydli oczy intrygantka, daje się wciągnąć na pole całkiem mu obce. W końcu też postać ta raczej politowanie aniżeli śmiech wzbudza.

Wadą więc główną komedji tej jest to, że widz przez całą sztukę patrząc tylko na tak zwane charaktery ujemne, nie spotyka ani jednej wybitniejszej postaci, do której współczuciem pociągnięty, mógłby chociaż na chwilę wytchnąć z wrażeń przykrych, a czasem nawet wstrętnych, i orzeźwić się widokiem postaci dodatnej, chociażby od śmieszności nie całkiem wolnej. Nie spotyka się też w tej komedji, mającej być polityczną, ani jednej postaci zdrowej, kóraby widzowi przypomniała, że w społeczeństwie, do którego należy, obok serc wyziębłych i skażonych biją i serca gorące a uczciwe, obok członków, chorobą czasu dzisiejszego dotkniętych, w organizmie tętni także i życie zdrowe; obok samolubstwa, przewrotności, chciwości, próżności, obłudy, szalbierstwa patrjotyzmem itp. są przecież także i dusze prawe, zacne, o dobro publiczne szczerze i bez chęci zysku dbałe, pracowici, skrzętni i rozumni, o jasnem zagadnień życia publicznego pojęciu, a rzetelnych około tychże rozwiązania usiłowaniach; że obok kobiet serc zatęchłych i sercem frymaczących, tych na szczęście nasze, rzadkich jeszcze wyjątków — płonie jeszcze w całej pełni i szeroko w życiu społeczeńskiem włada i żywy wstyd niewieści i żywa wiara i uczciwość małżeńska, i prawdziwa macierzyńska miłość i rozumna o sprawy domowe dbałość i wreszcie niewieścia zacność obywatelska. Słowem: że obok śmieszności, wad i przywar, są także zalety, obok słabości i choroby zdrowie, obok niecnoty cnota; zatem że godzi się i należy mieć i żywić nadzieję lepszej przyszłości. Tego pokrzepienia komedja o zakroju politycznym: „Zabiegi“ niestety, nie daje, i to w niej brak dotkliwy.

(Tataj pozwolimy sobie wtrącić skromną uwagę, że o ile sądzimy, „pokrzepienie“ nie powinno koniecznie bezpośrednio wypływać z ust grającego na scenie aktora. Tego rodzaju naiwne środki „pokrzepiania“ zużyły się nieco i na dzisiejsze nerwy silniej się oddziaływa, gdy prawda pojawia się przez antytezę. „Zabiegi“ to ostra satyra na chorobliwe objawy społeczeństwa naszego i sądzimy, że tyrada powyższa komisji artystycznej o pięknych charakterach u nas się znajdujących, jakkolwiek z zapałem

napisana, nie jest odpowiednią w sprawozdaniu, którego zadaniem ocenić sztukę pod względem artystycznym.)

Do wad w budowie sztuki zaliczyć należy akt IV., tylko luźnie do poprzednich przyczepiony, w stosunku do całości za rozwlekły, a nadto nową akcję rozpoczyna: pożycie małżeńskie głównego bohatera, jako nowożeńca. Telegram o wypadku wyboru posła, tudzież wiadomość o zniknięciu oszusta cudzoziemca z aktu IV. bardzo łatwo każdy widz sam się domyśli; wyczerpywanie zaś rzeczy aż do dna, rzadko na pożytek i zaletę sztuki wychodzi.

Wszelako mimo wad tu wytkniętych, komedja „Zabiegi“ ma swe, w porównaniu z komedjami z nią rywalizującemi, znaczne zalety. Pisało ją widocznie pióro wprawne, nie początkujące. Dykcja łatwa, często tryska dowcipem swobodnym i lekkim; dyalog płynny; rozwijanie się akcji w ogóle żywe; charakteryzowanie, przypuściwszy prawdziwość postaci, nieraz tylko zapomocą kilku rysów, trafne; scenowanie w ogóle, a grupowanie osób w scenach bardziej zaludnionych i udział ich w rozmowie, zręcznie i z właściwą miarą przeprowadzone. Słowem robota, czyli tak zwana faktura sztuki świadczy dobrze o talencie autora.

Wady, powyżej wytknięte, spowodowały komisję do odsądzenia „Zabiegów“ od nagrody pierwszej; zalety, do przyznania jej nagrody drugiej.

Po powziętej przez komisję uchwale, rozpieczętowano kopertę, dołączoną do rękopismu z godłem: „Święta miłości kochanej ojczyzny, Czują cię tylko umysły poczciwe“. Autorem okazał się: „Autor pojedynku szlachetnych“. Adres: „Sewer w Dołędze, poczta Szczurowa“.

P. Sewer otrzymuje tedy nagrodę drugą w kwocie trzechset zł. w. a. z funduszu konkursowego imienia Aleksandra hr. Fredry; reszta funduszu: tj. kwota sześciuset zł. pozostaje na konkurs przyszły.

We Lwowie dnia 5. maja 1880.

Komisja konkursowa druga.

* * *

Zapowiedziane na pierwszy dzień Zielonych Świąt otwarcie wystawy sztuk pięknych nie mogło przyjść do skutku. Przyczyna tego bardzo prosta. Nie było czego wystawiać Nadesłano dotychczas tak mało i po większej części tak słabe rzeczy, że niepodobna było myśleć o otwarciu; odłożono więc tę chwilę do dnia 1. czerwca.

Może się jeszcze artyści namyślą.

Mieliśmy sposobność oglądania w auli politechnicznej tych okazów, które skwapliwie na termin zostały przysłane. Jest tam sztuk kilkanaście, w ramach wcale przyzwoicie wyglądających.

Najbardziej imponuje pan Sypniewski swym Wallenrodem i Toastem weselnym. Ten ostatni szczególniej jest dużym, bardzo dużym obrazem. Znajdujemy tam parę tuzinów kontuszowych figur siedzących, stojących i pijących za stołem. Byłyby dobre do udekorowania sali jadalnej w restauracji.

Jest i Andriolli ze swym sławnym kartonem „Wręczenie darów Kraszewskiemu w Sukiennicach“. Tłum ludzi z głowami przerysowanemi biegle z fotografij o rękach przypominających pletwy przedpotopowych zwierząt ziemnowodnych. A jeśliby tych ludzi rozebrać do naga, to przedstawiłoby się dziwne widowisko. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej potwornego pod względem anatomicznych proporcji. Jules Mien np. stojący po lewej stronie, ma jedno ramię przynajmniej cztery razy dłuższe od drugiego, i gdybyśmy mierzyli jego prawy obojczyk, to otrzymalibyśmy długość wynoszącą około jednego metra. Andriolli umie w zamian za to używać efektów światła i cieniów i dla tłumów jest znakomitym artystą.

Inne obrazy mniej imponują rozmiarami, ale też są po większej części jeszcze gorsze. Oglądając te dzieła pęzla umieszczone pod ścianami w Auli Szkoły politechnicznej, odbiera się wrażenie, jakby się oglądało przedpokój wystawy, w którym ustawiono płótna przez komisję artystyczną odrzucone. Prawdziwy *Salon des refusés*.

O rzeźbie lepiej zupełnie zamilczeć...

Nie wiemy doprawdy czemu ten wynik fatalny przypisać. Czy artystom nie chodzi wcale o to, żeby Lwów widział ich prace, czy też dyrekcja Towarzystwa Sztuk pięknych zbyt mało dba o to, żeby zachęcić ich do brania większego udziału? Warto, aby ta sprawa była raz wyświecona.

* * *

Jakkolwiek w teatrze na afiszach z ubiegłego tygodnia, spotykamy klassycznie brzmiące tytuły, jak Neron, Piękna Helena, to jednak klassyczność nie znajduje zbyt silnego odgłosu u publiczności. Rozoperetkowanie doszło do tego stopnia, że Dzwony kornewilskie i Bocaccio robią nieustannie furorę i trzeba będzie mocnych wysiłków żeby publiczność sprowadzić na poważniejsze tory.

Personal kobiecy teatru i tak bardzo słaby, zmniejszył się jeszcze o jedną osobę. Pani Zimajer wzięła dymisję. Wielka szkoda tej artystki, która w swoich rolach była wyborną. Odjazd jej czyni niemożliwem przedstawienie kilku sztuk, któż bowiem grać teraz będzie np. Pawłowę w Kawalerze marcowym Blizińskiego? Warto aby Dyrekcja postarała się na przyszły sezon zimowy o zasilenie tego biednego personalu kobiecego, który jest zupełnie nieodpowiedni do wyborowych i znakomitych sił męzkich naszego teatru.

Korzystając z okazji, gdy mowa o teatrze, przypominamy raz jeszcze, że niedługo się odbędzie benefis pani Ładnowskiej, która wystąpi w dramacie przepysznym Wiktora Hugo: Król się bawi.

* * *

Celem uczczenia trzechsetletniej rocznicy śmierci Jana Kochanowskiego, przypadającej w roku 1884, zamierzonem jest jak wiadomo, wydanie dzieł jego wszystkich w dwóch edycjach, które zawierać mają także i rozmaite prace dzieł tych dotyczące. Los jednak wydawnictwa tego jest niepewny, gdyż nie ma dotąd nakładcy.

Otóż wśród komitetu zawiązanego w sprawie wydawnictwa tego, powstał projekt, jak się dowiaduje „Tygodnik illustrowany“, ażeby celem zebrania przynajmniej części potrzebnych na wydawnictwo funduszów, urządzić w salach redutowych warszawskich widowisko sceniczne, złożone z trzech utworów dawnych pisarzy naszych.

Do przedstawienia wybrano mianowicie tragedję Jana Kochanowskiego „Odprawę posłów“, opowiadanie biblijne Mikołaja Reja pod tytułem „Żywot Józefa“, tudzież komedję Piotra Baryki pod tytułem „Z chłopa król“.

Sala na przedstawienie urządzoną byłaby na wzór teatrów starożytnych w kształcie półkola. Chóry, orkiestra, wszystko byłoby na wzór grecki, a w „Odprawie posłów“ i kostjumy.

Widowisko to zamierzają projektodawcy urządzić jeszcze w roku bieżącym; do pomocy zaś mają wezwać najlepsze siły amatorskie.

Niemcy bardzo często urządzają tego rodzaju przedstawienia z dzieł autorów klasycznych greckich i łacińskich.

Ciekawem będzie, jak zgrabne amatorki Warszawianki i amatorowie salonowi wywiążą się z ról chlamydowych i jak stąpać będą na koturnach.

Że „cała Warszawa“ będzie na przedstawieniu, to nie ulega wątpliwości.

Podnosimy tu jeszcze raz tę fatalną okoliczność, która zamierzonemu dziełu stoi na przeszkodzie, że u nas w Galicji teraz właśnie, ni ztąd ni zowąd, zaczęto wydawać dzieła Kochanowskiego. W takiej chwili rzecz to szkodliwa i potępienia godna, bo przeszkadza przeprowadzeniu szlachetnego zamiaru do skutku.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** Opuścił prasę drukarską zeszyt 5. tomu I. Słownika geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, wydawanego pod redakcją p. F. Sulimierskiego w Warszawie. Zeszyt ten zawiera artykuły od Borowica do Brześć Litewski.

*** „Wspomnienia Czarnohory“ streścił Marcelli Antoni Turkawski, sekretarz oddziału Czarnohorskiego Towarzystwa tatrzańskiego w Kołomyi. Pod tym tytułem wyszła w Warszawie, nakładem Filipa Sulimierskiego, książeczka opisująca nadzwyczaj barwnie i zajmująco jedną z najpiękniejszych okolic naszego kraju.

*** Dr. Stanisław Smolka, profesor uniwersytetu Jagielońskiego, otrzymał za pracę swoją p. t. „Mieszko stary i wiek jego“ nagrodę konkursową w kwocie 1800 franków, rozpisaną przez paryzkie towarzystwo literacko-historyczne; praca ta obejmuje dzieje Polski od r. 1133 do 1207 r.; kreśli zarazem cały jej stan cywilizacyjny w XII wieku.

*** Ateneum w zeszycie za miesiąc maj zawiera: 1. Książe Klemens Metternich i jego pamiętniki, przez Kazimierza Jarochowskiego. 2. Bezwiedne tradycje ludzkości, studium z psychologji historji, przez Dra Juljana Ochorowicza. 3. Szalona, powieść przez J. I. Kraszewskiego. 4. Rachunki skarbu państwa Rosyjskiego, za r. 1878, przez A. A. K. 5. Dzieła sztuki greckiej świeżo odkryte, przez A. Pawińskiego. 6. Powieści historyczne J. I. Kraszewskiego, przez A. Tyszyńskiego, 7. Rozbiory i sprawozdania, Historja literatur Słowiańskich A. Pypina i Spasowicza przez Antoniego Kalinę. 8. Kronika naukowa przez S. K. 9. Kronika miesięczna.

*** Kosmos czasopismo polskiego towarzystwa przyrodników imienia Kopernika, w zeszycie IV. z r. b. zawiera: 1. Wyciąg z protokolów po siedzeń Towarzystwa 2. Sprawozdanie z badań geologicznych dokonanych pomiędzy Gniłą Lipą a Strypą, podał prof. M. Łomnicki. 3. O gęstości par niektórych połączeń nieorganicznych w wysokiej temperaturze (streszczenie prac pp Wiktora i Karola Mayerów). 4. Kronika naukowa przez L. Hodolego. H. Wielowiejskiego, R. Zabera i M D. Wąsowicza. 5. Wiadomości bieżące. 6. Polska bibljografia przyrodnicza za r. 1879.

*** Paryzki wydawca Calman Levy przygotowuje do druku korespondencje George Sand.

*** W Marsylji komedja Sardou „Daniel Rochat“; została wygwizdaną i drugi raz nie będzie przedstawioną.

*** Wychodzącemu w Genui dziennikowi „L'Epoca“ odebrany został debit pocztowy do wszystkich w radzie państwa reprezentowanych królestw i krajów.

Nauka.

*** W zeszycie majowym „Przeglądu technicznego“ spotykamy dalszy ciąg poważnej rozprawy pana Alfonsa Rzeszotarskiego, inżyniera-technologa, o nowych ulepszeniach, doświadczeniach i badaniach dokonanych w zakresie stali zlewnej.

Autor przedstawia w tym rozdziale wyniki badań mikroskopowych nad złożeniem (strukturą) stali, wykonanych dawniej przez pana Czernowa, a nadto streszcza swoje badania w tym przedmiocie.

Mikroskopowe widoki przecięć zlewków stalowych w różnych ich stanach temperatury i młotowania przedstawione są na dwóch tablicach, z których druga obejmuje rysunki, wykonane ołówkiem, według wskazówek mikroskopu własnoręcznie przez autora, a odbite z nadzwyczajną czystością, sposobem fotodrukarskim.

Badania mikroskopowe panów Czernowa i Rzeszotarskiego prowadzą do wniosku, że ten sam wpływ, jaki wywiera młotowanie na zmianę złożenia stali, osiągnąć można przez proste ogrzanie zlewka i stosowne ostudzenie.

Powierzchnia złamu takiego zlewka niczem się nie odróżnia od zlewka przekutego, odlanego z tejże stali.

W tymże zeszycie „Przeglądu technicznego“ zasługują na uwagę poglądy pana Stefana Kossutha w przedmiocie słownictwa technicznego.

Autor rozbiera nader delikatną kwestję tworzenia nowych wyrazów, a wszyscy piszący po polsku o rzeczach specjalnych skorzystać mogą z jego poglądów, tem poważniejszych, że są wygłaszane przez jednego z najdzielniej władających polskim językiem technicznym i oparte na zdaniach tak głębokiego znawcy naszego języka, jakim jest Małecki.

*** *Akademja nauk francuska* składa się z 78 członków. Obecnie dwa krzesła nie są w niej zajęte; jedno w sekcji mechaniki, a jedno w sekcji geografji i żeglarstwa. Liczba członków zagranicznych *(associé etranger)* i członków korespondentów określona ustawą wynosi 108. Cztery tu wakują miejsca: dwa w sekcji chemicznej, jedno w botanicznej i jedno w sekcji geografji i żeglarstwa. Rozdział tej grupy członków wedle narodowości daje miarę geograficznej oceny obcych uczonych przez ich paryskich kolegów. W liście tej znajdujemy na czele Francję z 30 członkami w Paryżu; dalej idą Anglia z 21 członkami, Niemcy mają ich 17, Stany Zjednoczone 8, Rosja 6, Szwajcarja 6, państwo Skandynawskie 5, Włochy 4, Belgia i Hollandja 4, Austrja 2 i Brazylja jednego.

Sztuki piękne.

*** W tych dniach w Warszawie otwartą została w resursie kupieckiej wystawa urządzona przez pana Aleksandra Krywulta.

Obrazy w liczbie stu kilkunastu umieszczone są w trzech salonach.

Między innemi wybitnieją tu dwa płótna Matejki „Spór małżeński Gryfiny z Leszkiem Czarnym“. tudzież „Władysław Łokietek, zrywający układy z mistrzem krzyżackim“.

Znajdują się też tu prace Ajdukiewicza, Koniuszki, Lipińskiego, Löflera, Pruszkowskiego, Żmurki i wielu innych.

*** Pełen talentu młody malarz Tadeusz Ajdukiewicz nadesłał do salonu Ungra w Warszawie nowy swój obraz „Manewr pod Krakowem“.

Słyszeliśmy, iż w salonie Ungra ma też być wystawiony „Taniec wśród mieczów“ Siemiradzkiego.

*** „Hamlet“ premjowane złotym medalem na wystawie monachijskiej płótno Czachórskiego, znalazło nabywcę w jednym z właścicieli galerji sztuk pięknych.

*** Znany karton Andriollego, przedstawiający „Słowana na pobojowisku“, stał się własnością pani Haliny Schürrowej w Warszawie.

*** Tegoroczny salon paryski wcale sporą znowu zaprezentował publiczności cudzoziemskiej wiązkę utworów pędzla polskiego.

Oprócz Matejki, którego „Bitwa pod Grunwaldem“ gromadzi tłumy widzów, pomimo tendencyjnie nieprzychylnej krytyki kilku nietyle głośnych, co ogłaszających się „znawców“ w rodzaju Alberta Wolffa, przedstawiło swe prace 20 malarzy, 7 rysowników, 2 rzeźbiarzy i tyluż robotników.

Dział malarstwa reprezentują:

Władysław Bakałowicz, Eufrozyna Bakowska, Walery Brochocki, Aleksander Wojciech hr. Cetner „Koronacja doży Sebastjana Veniera“, Józef Chełmoński „Kulig“, Władysław Ciesielski, Artur Gąsowski, Anna Hlaskówna, Leopold Horowitz, Jan Konopacki, Wojciech Kossak, Alfred Kowalski („Rekonesans czerkieski“ i „Czerkiesi grzejący się na słońcu“), Gustaw Krabański (urodzony we Francji), panna Aleksandryna Kunicka (urodzona we Francji), Franciszek Antoni Piotrowski, Andrzej Słomczyński (urodzony we Francji), Pantaleon Szyndler („Dramat w Seraju“), Aniela Wisłocka, Wiktor Kazimierz Ziehr, Edward Ziehr („Karol VI. z Odettą“).

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** W tych dniach przybyła do Warszawy panna Anna Tomaszewiczówna, która, ukończywszy wydział medycyny w Zurychu zdała następnie prawem przepisany egzamin w Petersburgu. Młoda doktorka miała sposobność odznaczyć się pracami naukowemi, z których jedna „O chloralu“ zyskała uznanie akademji paryskiej, a także pracą p. t. „Beiträge zur Physiologie des Ohrlabirynths“, która wyszła na widok publiczny w r. 1879. Dodamy że panna Tomaszewczówna poświęca się specjalnie chorobom kobiecym i dziecięcym.

*** W Londynie w St. Jameshalle odbył się meeting kobiet, walczących o prawo wybieralności do parlamentu. Zebrane niewiasty należały do najróżniejszych stanów. Mężczyzn wpuszczano tylko za opłatą pół korony, to też zebrała się ich bardzo mała liczba. Wszystkie rezolucje przyjęte zostały jednomyślnie. Postanowienia wręczone będą Gladstonowi.

*** Koło szlachty pruskiej ogłosiło w ostatnich dniach odezwę w celu utworzenia niemieckiego towarzystwa szlacheckiego, któreby dążyło do „indywidualnej regeneracji zapomocą naprawy obyczajów i rygoru w zakresie domu i rodziny, tudzież zachowanie skromności i poważnego kierunku wpośród powszechnego szału używania i w ogólności pielęgnowania i wyrabiania dodatnich przedmiotów charakteru, które umożliwić mogą spełnienie zadania jakie na szlachtę nakłada zasada „noblesse oblige“.

Nowo zawiązane towarzystwo rozporządza bardzo znacznemi środkami i zamierza także utworzyć fundusz zapomogowy dla wdów i sierot po niezamożnych swoich członkach, oraz fundusz pomocy dla niezamożnej kształcącej się młodzieży szlacheckiej.

Ostatecznym celem stowarzyszenia jest ogólna i gruntowna organizacja stanu szlacheckiego w Niemczech.

*** Brukselska komisja ułożyła następujący program festynu narodowego, mającego się odbyć z okazji pięćdziesięcioletniej rocznicy niepodległości Belgji 15. czerwca otwarcie wystawy narodowej; 21. lipca poświęcenie pomnika wystawionego w Laeken królowi Leopoldowi I; 22. do 24. lipca powszechny festyn; 25. i 26. lipca jakoteż 8 i 9. sierpnia konkursy muzyczne; 1. sierpnia otwarcie historycznej wystawy sztuki belgijskiej; 16. sierpnia festyn polityczny: 17. sierpnia festyn wojskowy i artystyczny; 15 do 19. sierpnia wyścigi konne.

*** Liczba klasztorów w Belgji wynosi obecnie 1702, a mianowicie 207 z 3649 zakonnikami i 1495 z 18.907 siostrami zakonnemi.

*** Część tunelu św. Gotarda o 6.300 metrów od wejścia południowego, zawaliła się w tych dniach; trzech robotników zabitych a sześciu ranionych.

*** W Paryżu w r. b. urządzona zostanie wystawa przemysłu księgarskiego ze wszystkiemi łączącemi się z nim gałęziami, jako to: drukarstwem, odlewaniem czcionek i introligatorstwem; znajdą też pomieszczenie okazy drzeworytnicze i sztycharskie.

*** W Berlinie w dniach od 21. do 25. b. m. odbywać się będzie międzynarodowa wystawa psów wszelkich ras. Ogólna liczba okazów wyniesie 1200. Niektóre rzadkie egzemplarze kosztują sztuka po 20.000 marek.

*** Jeden z reporterów niemieckich wyrachował, iż zabawny a charakterystyczny epizod w „salonie“ paryskim, którego bohaterem był młody malarz nasz Wojciech Kosak (o czem donieśliśmy) powtórzony został w ciągu tygodnia przez 264 dzienników.

*** „Nieznane gatunki herbaty“. P. Colborne Baber, ostatniemi czasy konsul angielski w Kun-King, w sprawozdaniu swojem złożonem wydziałowi skarbu i handlu w Kalkucie, zamieszcza niektóre bardzo ciekawe fakta z zachodnich nadgranicznych prowincji chińskich. W podróżach swoich po górzystych okolicach leżących na zachód od Xiating-fu, w Szeczuanie, p. Baber odkrył dwa gatunki herbaty, nieznanych dotąd przymiotów. W klasztorach na górze Omi albo Ngomi, częstowano go naparem herbaty słodkiej z natury, podobnej smakiem do zwykłej ale mocno osłodzonej syropem. Herbatę tę plantują jedynie zakonnicy na stokach góry i o dwa dni drogi ku zachodowi gatunek ten zupełnie jest nieznany. Drugi gatunek znowu, jakkolwiek dziwnym wydawać się może, ma naturalny smak mleka a właściwiej może masła. Co zaś szczególniejsza, że jest on rośliną dziką, rosnącą na górach samoistnie, której nigdzie zresztą nie hodują w Chinach. Herbata ta znajduje się w bezludnych, dzikich miejscowościach na zachód od Kiating i na południe od Yaczon, na wzniesieniu 6000 stóp i wyżej. Pan Baber opisuje ją jako krzew na 15 stóp wysoki, o pniu do 4 cali grubym. Każda część jego, z wyjątkiem korzenia, używana bywa za napar; krają go w kawałki i kładą w kocioł z wodą wraz z suchemi liśćmi i gałązkami. Po ugotowaniu daje on ciemny ale słaby odwar ze smakiem masłowym.

Odkrycia i wynalazki.

*** W Warszawie oglądano model pożytecznego wynalazku, dokonanego przez panów Franciszka Niemirę i Stanisława Pola.

Jest nim automatyczny łącznik wagonowy, zczepiający i rozczepiający wagony bez pomocy służby kolejowej, która przy tej czynności narażoną bywa na ciągłe niebezpieczeństwo utraty życia lub ciężkie kalectwa z powodu zgniecenia lub przejechania przez wagony.

Wypadki tego rodzaju są nadzwyczaj częste na wszystkich w ogóle kolejach żelaznych.

O ile wiadomo, pp. P. i N. zrobili już podanie w celu uzyskania patentu na swój wynalazek, zapewne więc wkrótce ukażą się rysunki tego łącznika w specjalnych pismach technicznych.

Życzyćby należało, iżby nasze koleje zbadały dokładnie nowy wynalazek i następnie, jeśli praktycznym się okaże, zastosowały go u siebie.

Podróże.

*** *Pułkownik Przewalski.* Według ostatnich wiadomości, odebranych od śmiałego tego podróżnika, doszedł on 12. Września r. z. do granicy południowego Tsaidamu a tym sposobem wszedł na wielki szlak górski prowadzący z Chin do Tybetu. Szczegółowy opis podróży jego zeszłorocznej z Chami do Shadżen, podają obecnie roczniki (Izwiestia) towarzystwa geograficznego rosyjskiego. Chami leży na krańcu piaszczystego stepu, opisywanego pod nazwą Muszun Gobi; jest to pustynia całkowicie prawie pozbawiona roślinności. Na przestrzeni kilkunastu mil geograficznych, widzi się tylko niezmierny przestwór gliniasty pokryty żwirem, gdzie temperatura na początku czerwca wynosiła 38° C. a grunt rozgrzewał się niekiedy do 68° C. Podróż nocą odbywać musiano. Żadnego większego nie ma tu zwierzęcia, z wyjątkiem antylopy i dzikiego wielbłąda, które przebiegają z pustyni Lob-noru.

P. Przewalski przeszedł w poprzek tę pustynię w południowo-wschodnim kierunku, w długości blisko 70 mil geograficznych i dosięgnął oazy Thadżen, miejscowości bardzo żyznej i po Kuldży naj-

pożądańszej w Azji środkowej. Wysoki łańcuch gór pokrytych śniegiem, Ałtyn-tagh Lobnoru styka się tu z Niem-szanem Kokonaru. Kwestja więc związku dwóch tych systematów górskich rozstrzygniętą jest ostatecznie. Pan Przewalski zatrzymał się przez miesiąc w Sha-dżeu, szukając przewodnika do Tsaidannu i nakoniec znalazł w górach trzech Mongołów, którzy zgodzili się go tam przeprowadzić, idąc naprzód w kierunku południowo-zachodnim do jeziora Serten, a ztąd do jeziora Koku-nor. Tymczasem w ostatnich dniach rozeszły się w Petersburgu niepokojące wieści o pułkowniku. Ambasada niemiecka w Pekinie odebrała list od hrabiego Szecheny, który szedł w ślady wyprawy rosyjskiej, donoszący, że hrabia zawrócić ma zamiar nie chcąc próbować losu pułkownika Przewalskiego, jakikolwiek spotkać go może. Niepokojące także wieści nadeszły z rosyjskiego Turkiestanu. Jeden z przewodników, powracający z Szardini doniósł, że podczas kiedy szukał zgubionego tropu, Przewalski i towarzysze jego gdzieś się zapodzieli, tak, że sam powrócić musiał. Życzyć należy, ażeby pogłoski te okazały się fałszywemi, zguba bowiem dzielnego podróżnika byłaby wielką stratą dla badań naukowych.

ROZMAITOŚCI.

OSADA RZEMIEŚLNICZA.

W ostatnich czasach, tak zwana „kwestja socjalna“ i wszystko co z nią w bliskim kojarzy się stosunku, na pierwszym powszechnego zajęcia stanęła planie.

Liczne w tym kierunku projekta i wnioski wskazywały środki prowadzące jeżeli nie do zupełnego rozstrzygnięcia, to przynajmniej do złagodzenia i ustosunkowania interesów pomiędzy pracodawcami a pracownikami.

Nie mamy zamiaru przedstawiania całego obszaru tej kwestji, celem bowiem naszym jest raczej rozpatrzenie jej z jednego tylko stanowiska, a mianowicie: podanie wzoru pieczołowitości o los pracowników ze strony tych, których dobrobyt głównie na spółdziałaniu tamtych polega.

Pracodawca, czy jest właścicielem fabryki, czy przemysłowcem, w żadnym razie nie jest mocen urządzenia domowych i socjalnych stosunków swoich robotników w sposób zabezpieczający ich od wszelkich kłopotów o życie ich materjalne; może wszelako przyczynić się wiele do polepszenia ich położenia.

Pod tym względem, jako przykład prawdziwie filantropijnej troski o byt swoich pracowników postawić możemy właścicieli olbrzymich rękodzielni bawełnianych w Muluzie (Moulhause) w Alzacji.

Muluza, położona na żyznych równinach rzeki Jll, pod zasłoną gór Wogezkich, jakkolwiek już w XIII. wieku liczyła się do rzędu wolnych miast niemieckich, obecny swój wzrost datuje dopiero od początku bieżącego stulecia.

Szybki rozwój przemysłu bawełnianego uczynił ją najpierwszą osadą fabryczną w Europie; na dowód zadziwiającego tu wzrostu ludności dość przytoczyć, że kiedy w roku 1800 Muluza liczyła 6000 głów, obecnie liczba jej mieszkańców przewyższa 60.000.

Tak nagły wzrost zawdzięczyć należy nietylko przyjaźnym warunkom miejscowym, ale nadto trzem jego twórcom: Jakóbowi Schmalzer, Jakóbowi Köchlin i Henrykowi Dollfus, którzy tu w r. 1746 zaprowadziwszy rękodzielnię drukowanych perkali i płócienek, nadali jej wyrobom szeroki rozgłos.

Przychodzień, wkraczający w ten las niebotycznych kominów i gmachów fabrycznych, widzi się odrazu w ognisku tegoczesnego produkcyjnego ruchu.

Łatwo pojąć, że postawienie muluzańskich zakładów na takiej stopie musiało być połączone z wielu niedogodnościami, jakie w ogóle towarzyszą fabrykom na wielką skalę rozwiniętym.

Napływ tysiąca robotników z Niemiec, Szwajcarji i Francji, obok tak różnorodnych elementów, stał się groźnym nietylko pod względem sanitarnym i obyczajowym, ale nadto dał odrazu uczuć dotkliwy brak odpowiednich mieszkań.

W ciasnych, niezdrowych i wilgotnych komórkach musiały się mieścić całe rodziny robotników, a cena tych kryjówek niepomiernie wzrastała.

Wprawdzie znaleźli się wkrótce spekulanci, przedsiębiorący budowę wielkich domów, to jednakże natychmiast położenia robotników nie polepszyło.

Ogólnej niedoli zaradziła nakoniec wyczekiwana od pół wieku pomoc ze strony towarzystwa, które obrało sobie za cel podniesienie nietylko rękodzielniczej działalności miasta, ale nadto polepszenie domowych stosunków rodzin rzemieślniczych: uzyskawszy od rządu francuskiego zasiłek w sumie 300.000 franków, przedsięwzięło ono budowę tysiąca małych domków, które dziś tworzą szczególne w swoim rodzaju i godne naśladowania miasto rzemieślnicze *(cité ouvrière)*.

Szlachetne to w swoich dążnościach stowarzyszenie położyło sobie za zadanie każdej rodzinie rzemieślniczej dać możność dojścia do posiadania własnego domku z małem podwórzem i ogródkiem.

W roku 1853 stowarzyszenie pod przewodnictwem jednego z trzech właścicieli fabryki, Jana Dollfus, zebrawszy z akcyj milion franków kapitału nakładowego, przystąpiło do wykonania swoich filantropijnych planów.

Dollfus, będąc duszą całego stowarzyszenia, własnym kosztem zbudował najprzód na wzór cztery domki, dla zachęty zaś wyznaczył nagrody za schludne ich utrzymanie, staranne wychowanie dzieci i troskliwą hodowlę ogródków, w ślad zaś za tą przewodnią jego myślą poszli i inni bogaci przemysłowcy Muluzy.

Nie samo wszelako dostarczenie im zdrowych i tanich mieszkań miano tu na względzie; stowarzyszenie bowiem położyło sobie za cel podać robotnikom możność dojścia do posiadania domku na własność przez umiarkowane potrącanie kwot z wypłacanego im zarobku.

I tak, kto obejmując w posiadanie domek zapłaci z góry 250 — 300 franków (około 75 rs.), ten staje się już jego posiadaczem; resztujący zaś szacunek tej nieruchomości rozdziela się na raty w ciągu 16— 20 lat spłacić się mające.

Tym sposobem rzemieślnik nieznacznie przychodzi do dziedzicznego posiadania domu i kawałka gruntu. owe bowiem 18 — 25 franków miesięcznie z zarobku potrącane, zmuszony był dawniej obracać na komorne za niewygodne a częstokroć i szkodliwe dla zdrowia mieszkanie; niewniesienie raty nie usuwa go z posiadania domku, obowiązany jest tylko uiścić mały procent od raty niewniesionej.

W razie śmierci rzemieślnika, posiadacza domku lub przeniesienia się do innego miasta, stowarzyszenie zwraca mu wszystkie wkłady z dodaniem procentu; aby zaś nie dopuścić jakichbądź zboczeń od powziętego pierwiastkowo planu. ustawa wkłada na nabywcę warunki, że w ciągu dziesięciu lat od podpisania wzajemnej umowy nie jest on mocen sprzedać domku ani innych przyjmować spółlokatorów.

Poznawszy dotąd w krótkim zarysie początek i organizację tej nader zajmującej osady rzemieślniczej, obaczmy teraz jak się ona w rzeczywistości przedstawia.

Tak zwana ulica Strasburska przecina miasto w całej jego długości, uroczy dla przechodnia z obu stron przedstawiając widok.

Mniejsze i większe domki otacza zieleń ogródków, winorośli, klombów i żywopłotów, a cicha ta osada, łącząca w sobie wygody miasta z wdziękiem wioski, jakąż sprzeczność stanowi z właściwą fabryczną Muluzą, gdzie ogromne gmachy rękodzielnicze, dym, turkot wozów, huk wirujących maszyn, w odurzenie wprawia przechodnia.

Każdy ogródek, ozdobiony altaną i pomalowanemi ogrodzony sztachetami, przynosi ze sprzedaży jarzyn 46 — 50 franków rocznie; niektóre żony rzemieślników dość zyskowny prowadzą tymi produktami handel.

Największym wszelako zyskiem dla posiadaczy ogródków jest wypływające z nich duchowe i moralne dobro; nie dość bowiem, że one stanowią dla dzieci przyjemne miejsce rozrywki, ale nadto odciągają starszych od przepędzania czasu w knajpach i szynkowniach i wdrażają w zamiłowanie życia rodzinnego.

„Od czasu posiadania własnego domu — rzekła jedna z rzemieślniczek do zwiedzającego tę osadę ministra oświecenia Duruy — mąż mój spędza wieczory ze mną i z dziećmi“.

Dolne mieszkanie domku, do którego wchodzi się po czterech kamiennych schodkach, składa się z kuchni i sąsiedniej izby familijnej o dwóch oknach zaopatrzonych w żelazne okiennice; górne piętro ma także izbę o dwóch oknach i alkierz; pierwsza służy za sypialnię dla rodziców, drugi dla dzieci; pod domkiem ciągnie się piwnica.

Stowarzyszenie zwróciło także troskliwą uwagę na budowę miejsc ustępowych; wszystkie wytynkowano cementem i odpowiednią urządzono wentylację.

Z pomiędzy wielu pożytecznych urządzeń, mających na celu dobro gminy rzemieślniczej, na pierwszem miejscu postawić możemy istniejące tu łaźnie i pralnie.

Budynek kąpielowy, na dziesięć łazienek podzielony, mógłby służyć pod względem wygody i czystości za wzór naszym kąpielowym zakładom; kąpiel z bielizną do obtarcia kosztuje od osoby 15 centymów.

W ostatnich czasach urządzono tu omnibus dla mężczyzn i dzieci z ciepłą przepływającą wodą, a kąpiel taka kosztuje tylko 5 cent., a korzystało z niej w ciągu roku 7000 osób.

Pralnia zostaje w bezpośrednim związku z łaźnią i posiada wszelkie dogodności tegoczesnych w tym kierunku ulepszeń; za każdą godzinę używalności pralni płaci się 5 cent. w rachunek zaś ten nie wchodzi suszarnia, za którą dodaje się razem 50 cent.

Piekarnia w połączeniu z traktjernią dostawia chleba po cenie 5 cent. niższej od najtańszych piekarni w mieście, osada posiada nadto swoją własną rzeźalnię, aptekę, obszerny dom dla bezżennych, gdzie za 6 franków miesięcznie robotnik otrzymuje małą izdebkę z łóżkiem i pościelą.

W innym domu niezamężne robotnice mają zapewnione mieszkanie z pościelą i jadłem za $13^1/_2$ fr. na dwa tygodnie.

Oprócz żłobków dla niemowląt, osada posiada szkółki elementarne, przytułek dla starców i dom dla położnic; wszystkie te zaś dobroczynne zakłady i urządzenia, wzniesione dla dobra robotników, są zarazem pomnikiem czci i sławy dla ich założycieli.

Zamiast zmieniającego się proletarjatu, Muluza cieszy się spokojną, stale osiadłą i inteligentną ludnością, w której zamiłowanie pracy, porządku i oszczędności łączy się z przywiązaniem do własnego domowego ogniska; nic dziwnego więc, że wszelkie socjalistyczne ruchy, dotąd groźne dla Niemiec, nie znalazły tu przyjaźnego dla siebie gruntu.

Podając czytelnikom w zarysie opis tak pożytecznej ze wszech miar osady fabrycznej, pozwalamy sobie żywić nadzieję, że i u nas, choć w dalszej przyszłości, powstaną tego rodzaju Muluzy.

Oby się tylko znalazł drugi dla nas Dollfus

Ad. Gr.

Treść Nr. 21. str.

Towarzystwo „Dorsze Sznlom“ . . . 821
Zadora, historja z końca XVIII. wieku, przez J. I. Kraszewskiego. (c. d.) . . . 322
Ottona Hausnera Broszura „Deutschthum und Deutsches Reich“ (dok.) . . . 324
O tronie elekcyjnym domu Jagiellonów w Polsce przez Kazimierza Stadnickiego (c. d.) . 326
Listy T. T. Jeża 327
Kronika naukowa, przez B. Abakanowicza . 328
Impromptu pana Ignacego. Wiersz . . 329
Niekonsekwencja p. Drommel, Nowella przez Wiktora Cherbuliez (c. d.) . . . 329
Gracja studium Herberta Spencer'a . . 332
Kronika tygodniowa 333
Wiadomości z kraju i ze świata . . 334
Rozmaitości 336

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.